

**JOSEPH
CONRAD**

ZWYCIĘSTWO

Joseph Conrad

Zwycięstwo

«Public Domain»

Conrad J.

Zwycięstwo / J. Conrad — «Public Domain»,

Josef Conrad ukończył Zwycięstwo kilka miesięcy przed wybuchem I wojny światowej. We wstępie uznał za stosowne usprawiedliwić ten tytuł, być może nazbyt patetyczny w odniesieniu do fabuły. Zwycięstwo jest bowiem bardzo kameralną opowieścią, w dużej części rozgrywającą się na wyspie, na której schronił się Heyst — dżentelmen, dziwak i pesymista — oraz uratowana przez niego dziewczyna. Spokój tego miejsca zakłóca wizyta trójki przestępców, przekonanych że Heyst jest w posiadaniu skarbu. Conrad nie spieszy się przy tym z rozstrzygnięciem konfliktu, powoli prezentując różnorakie reakcje bohaterów na zagrożenie. W napiętej atmosferze, w której każda z postaci ma własne, nieujawnione cele, dochodzi w końcu do tragedii.

© Conrad J.

© Public Domain

Содержание

Tom pierwszy	5
Przedmowa do pierwszego wydania	5
Przedmowa	6
Część I	10
I	10
II	12
III	17
IV	20
V	24
VI	31
VII	34
Część II	36
I	36
II	40
Конец ознакомительного фрагмента.	47

Joseph Conrad

Zwycięstwo

Tom pierwszy

*„Zwołując cienie, wabiąc straszliwe zjawy i bezcielesne usta, głoszące
ludzkie imiona wśród piasków, i na wybrzeżach, i w dzikiej głuszy”*

Comus

PERCEVALOWI I MAISIE GIBBON

Przedmowa do pierwszego wydania

Ostatnie słowo tej powieści zostało napisane 29 maja 1914 roku. Tym ostatnim słowem był pojedynczy wyraz, a mianowicie tytuł.

Działo się to w czasach pokoju. Teraz, gdy zbliża się chwila wydania książki, przyszło mi na myśl, czy nie należałoby zmienić tytułu. Słowo: zwycięstwo, wspaniały i tragiczny cel szlachetnych dążeń, wydało mi się zanadto wielkim i wzniosłym na nazwę zwykłej powieści. Mógł mnie ktoś także posądzić, że ze względów czysto handlowych usiłuję wmówić w publiczność, iż treść książki ma jakiś związek z wojną.

Tego się jednak nie bardzo obawiałem. Na moją decyzję wpłynęły najsilniej nieuchwytnie podszepty tych pogańskich pozostałości grozy i lęku, które czają się jeszcze na dnie naszego starego człowieczeństwa. Zwycięstwo było ostatnim słowem, które napisałem w czasie pokoju. Był to ostatni literacki pomysł, który mi się nasunął, zanim drzwi świątyni Janusa¹ rozwarły się z hukiem, wstrząsając umysłami, sercami i sumieniami wszystkich ludzi na świecie. Nie należało lekceważyć takiego zbiegu okoliczności. Postanowiłem więc zostawić to słowo, wiedziony tą samą nadzieją, z którą jacyś prostoduszni obywatele dawnego Rzymu byliby przyjęli omen.

Druga rzecz, na którą chciałbym zwrócić uwagę, dotyczy istnienia (w powieści) osobnika nazwiskiem Schomberg.

Że uważam go za istotę prawdziwą, o tym mówić nie potrzebuję. Nikt nie przypuści, abym świadomie dawał lichy towar swoim czytelnikom. Schomberg jest dawnym członkiem mojej kompanii. W *Lordzie Jimie*, sięgającym jeszcze roku 1899, występował jako bardzo podrzędna osobistość, a w jednej z nowel, wydanej w 1902 r., odegrał już rolę poważną. Tutaj ukazuje się w jeszcze większej roli, zgodnej z prawdą życiową (mam nadzieję) – a także i z własnym swoim charakterem. Tylko w tym wypadku wchodzi w grę jego głębokie namiętności i, co za tym idzie, groteskowa jego psychologia zostaje nareszcie uzupełniona.

Nie twierdzę wcale, że moja powieść daje całość germańskiej psychiki; ale jest to bezsprzecznie psychika Germanina. Wspominam o tym, aby podkreślić fakt, że Schomberg nie jest bynajmniej wcieleniem wrogich uczuć z ostatniej doby i że stanowi rezultat moich dawnych, głęboko ugruntowanych i poniekąd bezstronnych zapatrywań.

J. C.

¹ Janus (mit. rzym.) – bóg o dwóch twarzach, patron początków, bram i mostów; bramy jego świątyni zamykano w czasie pokoju, a otwierano w czasie wojny. [przypis edytorski]

Przedmowa

W chwili, gdy zaczynam pisać przedmowę do *Zwycięstwa*, zdaję sobie przede wszystkim sprawę, jak bliską mi jest ta książka; bliską mi jest osobiście, bliską jest minionego nastroju, w którym ją pisałem, i wiąże się ściśle z różnymi mymi uczuciami, wywołanymi przez recenzje o pierwszym wydaniu, które ukazało się mniej więcej w rok po wybuchu wielkiej wojny. Powieść została ukończona w r. 1914, na długo zanim morderstwo austriackiego arcyksięcia rzuciło pierwszą nutę przestrogi światu, pełnemu już zwątpienia i lęku.

Wydana jednocześnie z powieścią bardzo krótka przedmowa, zachowana również w obecnym wydaniu, wyjaśnia dostatecznie, z jakim uczuciem zgodziłem się wówczas na wydrukowanie tej książki. Fakt, że ukazała się w Stanach Zjednoczonych już z początkiem roku, nie pozwalał zwlekać dłużej z wydaniem jej w Anglii. Pojawiła się w trzynastym miesiącu wojny, sumienie wyrzucało mi jednak, że popełniam rażącą niestosowność, rzucając strzęp wymyślonego dramatu w wir rzeczywistości tak zaiste tragicznej, lecz bardziej jeszcze okrutnej niż tragicznej i bardziej podniosłej niż okrutnej. Okropnym zarozumiałstwem wydała mi się myśl, że może się ktoś zająć czytaniem tych kartek; że znajdzie się ktoś taki w społeczeństwie, które wśród huku wielkich dzieł i w rozgwarze śmiałych słów, stwierdzających nieugiętą wiarę, musiało jednak czuć ostrze noża na gardle.

Niezmienny człowiek dziejowy umie przedziwnie zastosować się do wszelkich warunków przez siłę swej wytrzymałości i zdolność oderwania się od zewnętrznego życia. Wydaje mi się, że gra losu jest za wielka w stosunku do lęków człowieka i zbyt tajemnicza, aby ją mógł zrozumieć. Gdyby trąba sądu ostatecznego zagrzmiała nagle wśród powszedniego dnia, muzyk przy swym pianinie nie przestałby grać sonaty Beethovena, a szewc trwałby do ostatka przy warsztacie, ożywiony niezamąconą wiarą w doniosłość swej pracy. I mieliby najzupełniejszą słusność. Bo po co mamy się wzruszać mściwą pobudką anioła, zbyt potężną dla naszych uszu i zbyt straszną dla naszych lęków? Toteż zdarza się czasem, że uderzy w nas błyskawica gniewu. Czytelnik nie przerwie czytania, jeśli książka będzie mu się podobać, a krytyk będzie w dalszym ciągu pisał recenzję z tą zdolnością do oderwania się od zewnętrznego świata, która wypływa może z poczucia nieskończonej naszej małości, a która jest mimo to jedyną cechą, zdającą się zbliżać człowieka do nieśmiertelnych bogów.

Ale jeśli katastrofa dorównywa w tajemniczości rządzącemu nam losowi, najlepszy nawet przedstawiciel ludzkiej rasy może stracić równowagę. Widzimy wyraźnie, że z przybyciem dystygowanego pana Jonesa, prostodusznego Ricarda i wiernego Pedra, Heyst, człowiek zupełnie od świata oderwany, traci wewnętrzne opanowanie, tę piękną postawę wobec nieuniknionej konieczności, postawę, która się zwie stoicyzmem. Wszystko jest kwestią wzajemnego stosunku zjawisk. Powinien był się znaleźć jakiś sposób wyjścia z sytuacji. A jednak nie było rady. W tym drobnym przykładzie igraszek losu Heyst czuje siłę ślepego przeznaczenia. A przy tym w swym pięknym oderwaniu się od życia Heyst zatracił zdolność samoobrony. Nie mówię tu o odwadze przeciwstawienia się faktom, moralnej czy fizycznej, ale o umiejętności wzięcia się do rzeczy, o sprężystości ducha i odruchowym geście, które przychodzą bez namysłu i prowadzą człowieka do doskonałości w życiu, w sztuce, w zbrodni, w cnocie i jeśli o to chodzi, nawet w miłości. Refleksja jest wielkim wrogiem powodzenia. Muszę wyznać, że zwyczaj głębokich rozmyślań jest najszkodliwszym ze wszystkich zwyczajów wytworzonych przez cywilizowanego człowieka.

Ale nie chcę, aby mnie dotknęło choćby najłżejsze podejrzenie, że żartuję sobie z Aksela Heysta. Lubiłem go zawsze. Żywego człowieka, który stoi za nieskończeniem mi bliższą postacią z książki, pamiętam dobrze jako tajemniczego Szweda. Nie jestem zupełnie pewien, czy był, jak Heyst, baronem. Nie rościł nigdy pretensji do tego tytułu. Oderwanie jego od życia było zbyt wielkie, aby mógł żądać od ludzi ufności – w wielkich czy małych rzeczach. Nie chcę powiedzieć, gdzie go spotkałem; boję się, aby to nie wywarło na czytelnikach fałszywego wrażenia, ponieważ wyraźny rozdźwięk między człowiekiem a jego otoczeniem jest często okolicznością bardzo zwodną. Byliśmy

czas jakiś w wielkiej przyjaźni i nie chciałym go narażać na nieprzyjemne podejrzenia; choć jestem pewien, że zachowałby się obojętnie wobec podejrzeń, tak jak zachowywał się obojętnie wobec wszystkich innych przykrości życia. Nie był, oczywiście, identyczny z Heystem; dał mi tylko – na podstawie krótkiej znajomości – fizyczne i moralne tło do mojego Heysta. Nasza znajomość trwała krótko bynajmniej nie z mojej winy, gdyż oczarowało mnie pełne wdzięku oderwanie tego człowieka od życia; w stosunku do siebie musiałem jednak uznać to oderwanie za przesadne. Heyst opuścił hotel, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Zaciekało mnie, dokąd wyjechał, ale teraz już wiem. Znikł mi z oczu tylko po to, aby zaplątać się w tę nieuniknioną przygodę, czekającą na niego na tym świecie, który uważał niezmiennie za złowieszczy cień wirujący w blasku słońca. W ciągu lat przypominało mi go często wyrażone przez kogoś uczucie lub szczególne znaczenie jakiegoś zdania zasłyszanego przypadkiem, tak że przypisałem mu wiele słów, które padły z ust innych ludzi i wypłynęły z nastrojów mniej wzniosłych i mniej wzruszających.

Te same spostrzeżenia można zastosować *mutatis mutandis*² i do pana Jonesa, który powstał na podstawie znajomości znacznie pobieżniejszej. Pana Jonesa (czy jak tam się nazywał) nie uniosła ode mnie fala życia. Odwrócił się do mnie plecami i wyszedł z pokoju. Było to w roku 1875, w małym hoteliku na wyspie św. Tomasza w Indiach Zachodnich. Zastaliśmy go rozciągniętego na trzech krzesłach w pewne gorące popołudnie; leżał samotnie wśród głośniego brzęczenia much, a nieruchomość jego i trupiego wygląd sprawiały, że to brzęczenie wydawało się dziwnie ponurym. Nasze wtargnięcie musiało mu się nie podobać, gdyż wstał nagle i wyszedł, zostawiając mnie pod niewypowiedzianym dziwnym wrażeniem swoich cienkich pieszczeli. Jeden z mych towarzyszy powiedział, że ten człowiek jest najzawziętym graczem, jakiego spotkał w życiu. „Zawodowy szuler?” – zapytałem. „On jest zupełnie niemożliwy” – odrzekł mój towarzysz – „ale muszę przyznać, że do pewnych granic gra uczciwie”. Ciekaw jestem, dokąd sięgały te granice. Nigdy go już nie widziałem; zdaje mi się, że wyszedłszy z hotelu wsiadł na parowiec, który odpłynął w godzinę do innych portów w stronę Aspinallu. Charakterystyczną bezczelność pana Jonesa zaobserwowałem u innego osobnika o typie wręcz odmiennym. Nie chcę mówić, skąd wzięłem sposób myślenia pana Jonesa, ponieważ nie lubię rzucać krzywdzących insynuacji.

Tak się złożyło, że w tym samym roku Ricardo – prototyp Ricarda – był moim współpasażerem na malutkim i niezmiernie brudnym szkunerze, podczas czterodniowego przejazdu z jednej miejscowości do drugiej – w zatoce Meksykańskiej – mniejsza o nazwy tych miejscowości. Ów pasażer leżał prawie ciągle na pokładzie, niejako u moich stóp; od czasu do czasu podnosił się na łokciu i mówił o sobie bez końca – ale mówił właściwie nie do mnie i nawet nie w intencji, abym go wysłuchał (nie patrzył przed siebie, wzrok jego tkwił ciągle w pokładzie); wyglądało to, jak gdyby się zwierzał swemu zaufanemu diabłu. Niekiedy rzucał na mnie spojrzenie i poruszał dziwnie sztywnymi wąsikami. Oczy miał zielone i do dziś dnia, gdy patrzę na kota, przypominają mi się dokładnie kontury tamtej twarzy. Nie zwierzył mi się, w jakim celu odbywa tę podróż i czym się zajmuje. Prawdę powiedziawszy, jedynym podróżnym, który byłby mógł mówić otwarcie o swej działalności i swych zamiarach, był bardzo zatabaczony i przemiły w rozmowie zakonnik, przeor klasztoru, podróżujący w towarzystwie młodzieńczego braciszka o jakiejś szczególnie okrutnej twarzy. W ciemnej i niewypowiedzianie wstrętnej kajucie tego szkunera jechał także z nami stary pan, wyciągnięty na wznak w koi, Hiszpan, właściciel licznych kufrow – ciężko chory, jak zapewniał Ricardo. Wyglądało na to, że Ricardo jest służącym czy domownikiem tego wiekowego, dystygowanego pana, który raz na samym początku podróży miał długą rozmowę szeptem z zakonnikiem, a potem już tylko wydawał słabe jęki, palił papierosy i wołał od czasu do czasu na Marcina głosem pełnym bólu. Wówczas ten, który w książce stał się Ricardem, schodził do wstrętnej i hałaśliwej dziury, przepadał tam tajemniczo i – wracając na pokład z nieprzeniknioną twarzą – milczał lub kontynuował ku memu zbudowaniu wykład o swym wewnętrznym stosunku

² *mutatis mutandis* (łac.) – zmieniając to, co powinno być zmienione; uwzględniając istniejące różnice. [przypis edytorski]

do życia, ożywiony jaskrawymi przykładami najokrutniejszej treści. Czy chciał mnie przestraszyć? czy skusić? czy zdziwić? czy wywołać mój zachwyt? Zdołał mnie tylko rozśmieszyć i wzbudzić we mnie niedowierzanie. Jak to się zdarza u łotrów, nie był wcale nudny. Zresztą naiwność moja była wówczas tak wielka, że nie mogłem wziąć jego filozofii na serio. Przez cały czas trzymał jedno ucho zwrócone w stronę kajuty, jak wierny sługa, ale mimo to miałem wrażenie, że w ten czy inny sposób narzucił się choremu dla swych własnych celów. Czytelnik nie zdziwi się więc, gdy mu powiem, że pewnego ranka *padrone* szkunera oznajmił mi bez szczególnego wzruszenia, iż „bogaty pan tam na dole” umarł; skonał w nocy. Nie przypominam sobie, aby mnie kiedy tak wzruszyła samotna śmierć człowieka zupełnie mi obcego. Zajrzałem przez luk świetlny i zobaczyłem, jak wierny Marcin obwiązywał sznurami skórzane kufry nieboszczyka, z którego całej postaci widać było tylko białą brodę i orli nos, majaczące w mrocznych głębiach ohydnej, dusznej koi.

Ponieważ wiatr ustał zupełnie w ciągu popołudnia i cisza trwała przez całą noc i groźny, płomienny dzień, zmarłego „bogatego pana” wypadło rzucić w morze o zachodzie słońca, choć właściwie było już widać cel naszej podróży – niskie, zapowietrzane wybrzeże obramowane linią mangrowii³. Zacny przeor rzekł do mnie z głębokim współczuciem: „Ten biedak zostawił młodą córkę”. Nie wiem, kto miał się nią zaopiekować, ale widziałem, jak wierny Marcin przewoził bardzo troskliwie kufry ze statku na brzeg, zanim jeszcze zdążyłem wylądować. Byłbym się może zajął na chwilę śledzeniem tego tak wylanego⁴ człowieka, ale zaprzętały mnie własne bardzo naglące sprawy, które skomplikowały się w końcu przez trzęsienie ziemi – tak iż zabrakło mi czasu dla Ricarda. Nie potrzebuję mówić czytelnikowi, że go jednak nie zapomniałem.

Mój kontakt z wiernym Pedrem był znacznie krótszy, a obserwację nad nim przeprowadziłem mniej dokładnie, w warunkach bez porównania groźniejszych. Przerwało mi tę obserwację nagle natchnienie, aby usunąć się z drogi obserwowanego obiektu. Działo się to w szalasię z mat rozpiętych na tykach obok ścieżki. Wszedłem tam, aby poprosić o butelkę limoniady i do dziś dnia nie mam najmniejszego pojęcia, jaki szczegół mojej powierzchowności czy mego zachowania wzbudził straszliwy gniew Pedra. Ten gniew stał się dla mnie widocznym w niespełna dwie minuty od chwili, gdy moje oczy pierwszy raz na Pedrze spoczęły i, choć niezmiernie byłem zdziwiony, nie pozostałem oczywiście na miejscu, aby zbadać powód owego gniewu. Zwiąłem najbliższą drogą – przez ścianę. Ta bestialska zjawa i pewien olbrzymi Murzyn, z którym zetknąłem się na Haiti zaledwie w parę miesięcy potem – oba te spotkania ustaliły raz na zawsze moje wyobrażenie o ślepej, rozjuszonej, bezrozumnej wściekłości. Murzyn śnił mi się potem latami. Pedro nigdy. Wrażenie było mniej silne. Za prędko zszedłem Pedrowi z drogi.

Wydaje mi się naturalnym, że ta trójka, schowana w jakimś zakamarku mej pamięci, wyszła nagle na światło dzienne; tak naturalnym, iż nie usprawiedliwiam się wcale z egzystencji tych trzech ludzi. Tkwili w moich wspomnieniach i musieli się stamtąd wydostać; jest to dostateczne usprawiedliwienie dla powieściopisarza, który zabrał się do swego rzemiosła bez przygotowania, bez powziętego z góry zamiaru i bez żadnej innej moralnej intencji poza tą, która przenika całokształt naszego świata.

Ponieważ ta przedmowa dotyczy przede wszystkim pochodzenia osób występujących w powieści i moich z nimi stosunków, muszę zająć się także Leną. Gdybym o niej zamilczał, wyglądałoby to na lekceważenie, a nic nie jest mi bardziej obcym niż lekceważący stosunek do Leny. Jeśli ze wszystkich osób zaplątanych w „tajemnicę Samburanu” przestawałem najdłużej z Heystem (lub tym, którego Heystem nazywam), to dziewczynie nazwanej Leną przypatrywałem się najdłużej, z najbardziej wyteżoną uwagą. Ta uwaga wypływała z lenistwa, do którego mam talent wrodzony. Pewnego wieczoru zawędrowałem do kawiarni w mieście nie leżącym pod zwrotnikiem,

³ *mangrowia* – lasy namorzynowe, występujące w strefie międzyzwrotnikowej formacji roślinne rosnące wzdłuż brzegów morskich, często w strefie przypływu. [przypis edytorski]

⁴ *wylany* – dziś: wylewny. [przypis edytorski]

lecz na południu Francji. W sali pełno było tytoniowego dymu, rozgwaru, klekotu domina i dźwięków piskliwej muzyki. Orkiestra była chyba mniejsza od tej, która się popisowała w hali Schomberga i wyglądała bardziej na zespół rodzinny niż na zebraną przygodnie kapelę; muszę wyznać, że wszystko razem robiło wrażenie znacznie przywoitsze od muzycznej antreprzy⁵ Zangiacoma. Było w tym także mniej pretensjonalności, a nastrój panował bardziej domowy, że się tak wyrażę, i poufały, ponieważ w przerwach, gdy wszystkie muzykantki opuszczały estradę, jedna z nich chodziła wśród marmurowych stolików, zbierając sousy⁶ i franki w pogiecie cynowe naczynie, przypominające kształtem sosjerkę. Ową muzykantką była młoda dziewczyna. Mam teraz wrażenie, że obojętność, z jaką wypełniła swój obowiązek, była równie wielką, a może jeszcze większą, niż wyniosłość Heysta w stosunku do wszelkich poniżeń, na które rozum ludzki jest narażony w drodze przez życie. Chodziła od stołu do stołu milcząc, z szeroko rozwartymi oczyma, jak lunatyczka, i potrząsała tylko z lekka pieniędzmi, aby zwrócić na siebie uwagę. Rozdział morski mojego życia dawno już się był wtedy skończył, ale trudno odrzucić zupełnie cechy charakteryzujące nas przez pół żywota, toteż wpuściłem do sosjerki pięciofrankową monetę, niby marynarz na urlopie. Lunatyczka odwróciła głowę, aby na mnie spojrzeć i rzekła: *Merci, monsieur*⁷ – tonem, w którym nie było wdzięczności, tylko zdziwienie. Musiałem mieć wówczas doprawdy wolną głowę, skoro to wystarczyło, bym zauważył, że głos dziewczyny jest czarujący. Gdy muzykantki wróciły na miejsca, przesunąłem trochę krzesło, aby brodaty mężczyzna, który dyrygował orkiestrą, nie zasłaniał mi tej dziewczyny. O ile mi się zdaje, mógł to być jej ojciec, ale prawdziwą jego misją w życiu było stać się prototypem Zangiacoma w *Zwycięstwie*. Zdobywszy dobry punkt obserwacyjny, podczas drugiej części programu patrzyłem naturalnie dalej (z lenistwa) na dziewczynę. Zarys jej ciemnej główki pochylonej nad skrzypcami przykuwał oczy, a gdy wypoczywała w przerwach niezmiernie długiego programu, wyglądała w swej białej sukni, z opalonymi rękami złożonymi na kolanach, jak żywy obraz marzycielskiej naiwności. Podstarzała złośnica przy pianinie mogła być jej matką, choć nie zauważyłem między nimi najlżejszego podobieństwa. Ze stosunku, jaki je łączył, rzecz stwierdziłem na pewno – owo okrutne uszczyplenie w ramię. Jestem pewien, że to widziałem! Pomylić się nie mogłem. Zanadto byłem rozleniwiony, aby wymyślić ni stąd ni zowąd takie okrucieństwo. Może to był i żart, ale dziewczyna zerwała się jak oparzona. Może to był i żart. Lecz widziałem dobrze, jak „rozmarzona naiwność” rozcierała delikatnie bolące miejsce, idąc gęsiego za innymi muzykantkami środkowym przejściem wśród marmurowych stolików – w rozgwarze głosów, w klekocie domina, w niebieskiej atmosferze tytoniowego dymu. O ile mi się zdaje, ta orkiestra opuściła miasto nazajutrz.

A może tylko przeniosła się do wielkiej kawiarni po drugiej stronie *Place de la Comédie*. To bardzo możliwe. Nie przeszedłem jednak przez plac, aby się o tym przekonać. Moje rozleniwienie właśnie nadało szczególny urok dziewczynie i nie chciałem zniweczyć tego uroku przez jakiś niepotrzebny wysiłek. Nadczułość moja w owym rozleniwionym nastroju utrwaliła na tak długo to wrażenie, że gdy nadeszła chwila spotkania dziewczyny z Heystem, czułem iż Lena sprosta po bohatersku wszystkim wymaganiom ryzykownej, i niepewnej przyszłości. Tak byłem o tym przeświadczony, że pozwoliłem jej uciec z Heystem – nie bez wzruszenia, ale z pewnością bez złych przeczuc. I zaiste, wobec triumfalnego końca Leny, cóż więcej byłbym mógł zrobić dla jej rehabilitacji i dla jej szczęścia?

1920.

J. C.

⁵ *antreprzyza* (z fr.) – przedsięwzięcie. [przypis edytorski]

⁶ *sous* (fr.) – drobna moneta. [przypis edytorski]

⁷ *Merci, monsieur* (fr.) – dziękuję panu. [przypis edytorski]

Część I

I

W naszym oświeconym stuleciu każdy uczeń wie o tym, że między węglem a diamentami zachodzi bardzo bliskie pokrewieństwo chemiczne. Przypuszczam, że właśnie dlatego niektórzy nazywają węgiel „czarnymi diamentami”. Oba te minerały stanowią bogactwo, ale węgiel daleko trudniej przewozić niż diamenty. Z tego punktu widzenia musimy stwierdzić w węglu bardzo przykry brak koncentracji. Gdyby tak dało się schować kopalnię węgla do kieszeni od kamizelki! Ale to niemożliwe. Poza tym dziwny jakiś urok ma dla nas węgiel – najcenniejszy z towarów naszego wieku – tego wieku, w którym obozujemy jak oszołomieni podróżnicy we wspaniałym, gwarnym hotelu. Otóż sądzę, że dwa powyższe względy, jeden praktyczny, a drugi raczej mistyczny, powstrzymały od wyjazdu Heysta – Aksela Heysta.

Podzwrotnikowa Spółka Węglowa została zlikwidowana. Świat finansów jest tajemniczą krainą, w której może się zdarzyć ten niewiarogodny fakt, że stan lotny poprzedza stan płynny. Najpierw ulatnia się kapitał, a potem następuje stan płynny – czyli likwidacja interesów. Są to zjawiska przeciwne zasadom fizyki – i one to właśnie spowodowały przewlekłą bezczynność Heysta, z powodu której braliśmy go często na języki, w dość zresztą przyjazny sposób. Bezwładna jednostka nie wyrządza nikomu nic złego, nie usposabia wrogo – zasługuje za ledwie na drwiny. Zdarza się niekiedy, że i ta bezwładność jest zawadą, ale o Akselu Heystcie nie można było tego powiedzieć. Nie przeszkadzał nikomu – zupełnie jak gdyby tkwił na najwyższym szczycie Himalajów i nawet w pewnym znaczeniu był równie jak ten szczyt widoczny. W tej okolicy świata każdy o nim słyszał i wiedział, że mieszka na swojej wysepce. Wyspa jest jakby szczytem góry. Aksel Heyst tkwił na niej nieruchomo, a zamiast nieuchwytnej, przejrzystej i burzliwej toni powietrza, rozplywającej się w bezkresie, otaczało go ciepłe, płytkie morze, spokojna odnoga wielkich wód, które obejmują wszystek ład naszego globu. Najczęstszymi gośćmi Heysta były cienie – cienie chmur, ożywiające ponurą monotonię bezdusznego podzwrotnikowego słońca. Najbliższym jego sąsiadem – mówię tu o rzeczach ujawniających jakieśkolwiek ożywienie – był leniwy wulkan, który dymił z lekka dzień cały tuż nad północnym horyzontem, a nocami rozniecał wśród jasnych gwiazd tępy, czerwony blask, co rozżarzał się i przygasał kurczowo jak koniec olbrzymiego cygara, którym raz po raz zaciąga się ktoś w ciemnościach. Aksel Heyst palił także, i gdy wychodził z cygarem na werandę przed pójściem na spoczynek, żarzył się przed nim w mroku krążek takiej samej wielkości jak ten drugi, oddalony o wiele, wiele mil.

Wulkan dotrzymywał mu niejako towarzystwa wśród ciemności, które bywały niekiedy tak gęste, że – zdawało się – nie przepuszczają nawet najlżejszego wietrzyka. Zresztą rzadko kiedy zjawiał się powiew, zdolny utrzymać piórko w powietrzu. Prawie co wieczór przez cały rok Heyst byłby mógł siadywać na dworze przy niczym nie osłoniętej świecy i czytać którąkolwiek z książek pozostałych po zmarłym ojcu. A był ich zapas niemały. Lecz Heyst nie robił tego nigdy; prawdopodobnie bał się moskitów. I nigdy cisza nie natchnęła go myślą, by zwrócić się z jakąś uwagą do kolegi-ognika, żarzącego się nad wulkanem. Nie był przecież wariatem. Dziwak bo dziwak, to prawda, można to było powiedzieć i mówiono tak rzeczywiście; ale każdy przyzna, że między tymi dwoma pojęciami jest jeszcze cała przepaść.

W księżycowe noce milczenie obejmujące Samburan (zwany na mapie Wyspą Okrągłą) miało w sobie coś olśniewającego. Dom i najbliższe otoczenie, zalane zimnym światłem, wyglądały jakby jakaś opuszczona osada pochłonięta przez dżunglę. Heyst patrzył na niewyraźne zarysy dachów nad niską roślinnością, na łamane cienie bambusowych płotów wśród połyskliwej, wysokiej trawy, na szmat zarośniętej drogi, biegnącej ukośnie przez poszarpany gąszcz ku brzegowi, oddalonemu o

paręset jardów; widać tam było ciemny pomost i coś na kształt kopca, czarnego od strony cienia jak atrament. Ale przede wszystkim rzucała się w oczy olbrzymia czarna tablica umieszczona na dwóch słupach; gdy księżyc przewędrował na drugą stronę, ukazywały się na niej Heystowi białe litery P. S. W., wysokości przynajmniej dwóch stóp. Były to inicjały Podzwrotnikowej Spółki Węglowej, należącej do chlebobawców Heysta, a ściślej mówiąc, do byłych jego chlebobawców.

Zgodnie z tajnikami świata finansów, sprzecznymi naturze, kapitał P. S. W. ulotnił się w przeciągu dwóch lat i towarzystwo przeszło w „stan płynny” likwidacji – nie dobrowolnej, sądę, lecz przymusowej. W tym procesie nie było jednak nic gwałtownego. Dokonywał się powoli; i podczas gdy likwidacja – w Londynie i Amsterdamie – posuwała się żółwim krokiem, Aksel Heyst, wymieniony w prospekcie jako „dyrektor podzwrotnikowy”, pozostawał na swoim stanowisku w Samburanie, stacji węglowej, oznaczonej numerem pierwszym.

Ale Samburan był nie tylko stacją węglową; znajdowała się tam również i kopalnia. Pokłady węgla ciągnęły się zboczem wzgórz o niecałe pięćset jardów od koślawego pomostu i imponującej, czarnej tablicy. Celem spółki było owładnięcie wszystkimi kopalniami węgla na wyspach podzwrotnikowych i eksploatacja ich dla miejscowego handlu. A pokładów było bez liku. Heyst odkrył je w tych okolicach, natknąwszy się na nie podczas swych bezcelowych wędrówek; że zaś prowadził zawsze ożywioną korespondencję, rozpisał się o nich szeroko do przyjaciół w Europie. Tak przynajmniej opowiadano.

Nie sądziliśmy, aby Heyst marzył o bogactwach – a w każdym razie nie pragnął ich dla siebie. Zdaje się, że najwięcej obchodziło go to, co nazywał „dążeniem naprzód”, myśląc zapewne o organizacji świata w ogóle. Więcej niż sto osób spośród mieszkańców wysp słyszało jak mówił, że „cała okolica zrobiła wielki krok naprzód”. Zamaszysty ruch ręką, towarzyszący tym słowom, uzmysławiał, że tropikalne obszary zmuszone są do posuwania się naprzód. W związku z wytwornym obejściem Heysta było to bardzo przekonujące, a w każdym razie zamykało ludziom usta – przynajmniej na jakiś czas. Nikt nie miał ochoty zaprzeczyć, gdy Heyst przemawiał tym tonem. Jego przejęcie się sprawą węglową nie przeszkadzało nikomu. Nie groziło bynajmniej niebezpieczeństwo, aby ktoś mógł wziąć na serio marzenia o węglu podzwrotnikowym, po cóż więc było sprawiać mu przykrość?

Tak rozumowali różni ludzie w solidnych biurach handlowych, które Heyst odwiedzał, przybywszy ze wschodu z listami polecającymi i czekami wystawionymi na skromne sumy. Działo się to jeszcze na kilka lat przedtem, nim pokłady węgla zaczęły się piętrzyć w żartobliwych a wykwinnych wywodach Heysta. Od samego początku trudno było ustalić, kim on jest rzeczywiście. Nie był podróżnikiem. Podróżnik wyjeżdża i wraca, dąży do jakiegoś określonego miejsca. Heyst nie wyjeżdżał. Spotkałem kiedyś pewnego człowieka – dyrektora filii Stowarzyszenia Banków Wschodnich w Malakce – do którego Heyst nagle wykrzyknął, bez związku z jakąkolwiek poprzednią rozmową (było to w klubie, w pokoju bilardowym):

– Jestem oczarowany tymi wyspami!

Wyrwał się z tym ni stąd ni zowąd, *à propos de bottes*⁸, jak mówią Francuzi, w chwili, gdy pocierał kredą swój kij. Może doprawdy ktoś urok na niego rzucił? Więcej jest czarów na świecie, niż śniło się przeciętnym czarownikom.

Jednym słowem koło o promieniu ośmiuset mil, zakreślone wokoło pewnego punktu na północnym Borneo, było dla Heysta kołem zaczarowanym. Sięgało do Manili, gdzie zjawiał się niekiedy; dotykało Sajgonu, gdzie go raz jeden widziano. Może były to wysiłki Heysta, aby się spod czaru wyzwolić? W takim razie nie odniosły zamierzonego skutku. Czar był widocznie nie do przezwyciężenia. Dyrektor, który usłyszał ów wykrzyk zachwyty Heysta, był tak dalece pod wrażeniem jego zapału, uniesienia – czy jak to nazwać – a może i dziwaczności jego słów, że opowiadał o tym niejednemu.

⁸ *à propos de bottes* (fr.) – nie na temat (dosł.: na temat butów). [przypis edytorski]

– Dziwny człowiek z tego Szweda – dodawał jako jedyny komentarz. Z tej relacji wzięła początek nazwa „zaczarowany Heyst”, którą przyczepiono naszemu bohaterowi.

Miał także i inne przezwiska. Za swoich młodych lat – długo przedtem, nim zaczęła go zdobić łysina – udał się raz z listem polecającym do pana Tesmana ze spółki „Bracia Tesman” – pierwszorzędnej firmy w Sourabaya. Pan Tesman był uprzejmym, dobrodusznym staruszkim i nie bardzo wiedział, co z gościem począć. Oświadczył, że pragnie uczynić jego pobyt na wyspach jak najprzyjemniejszym, że spółka gotowa jest popierać jego zamierzenia itd., po czym przyjął podziękowania Heysta i prowadził dalej zwykłą w tych okolicznościach rozmowę, dopytując się z wolna ojcowiskim tonem:

– A więc najbardziej interesuje się pan – —

– Faktami – wtrącił Heyst zwykłym swoim uprzejmym tonem. – Nie ma nic ciekawszego nad fakty. Nagie fakty i tylko fakty, panie Tesman.

Nie wiem, czy stary Tesman zgadzał się z nim, czy nie, ale musiał o tym opowiadać, bo na pewien czas Heyst zyskał przezwisko „Nagie fakty”. Miał już takie szczególne szczęście, że własne powiedzenia przyczepiały się do niego, stając się częścią nazwiska. Przez jakiś czas potem włóczył się po morzu Jawajskim na którymś z handlowych szkunerów Tesmana, a wreszcie znikł na arabskim statku w kierunku Nowej Gwinei. Pozostał bardzo długo w tej odległej części zaczarowanego koła i prawie już o nim zapomniano, gdy zjawił się znów na tubylczym statku, pełnym włóczęgów z Goram. Spalony był na czarno od słońca i bardzo chudy; włosy mocno mu się przerzedziły. Pod pachą trzymał tekę ze szkicami, które chętnie pokazywał, ale poza tym bardzo był małomówny. Opowiadał tylko, że spędził czas „bardzo przyjemnie”. Człowiek, który jedzie dla rozrywki na Nową Gwineę – no, no!

W kilka lat później, gdy znikły już z jego twarzy ostatnie ślady młodości, a reszta włosów z ciemienia, gdy rudozłote, poziome wąsy rozrosły się okazałe, pewien biały człowiek o złej reputacji obdarzył go nowym epitetem. Postawił trzęsącą się ręką wysmukły, pusty kieliszek zapłacony przez Heysta i wyrzekł z mądrością pełną rozważliwej, niedostępnej dla przeciętnych ludzi, pijących tylko wodę:

– Heyst jest džentelmenem co się zowie. Co się zowie! Ale to ut – uto – utopista.

Heyst opuścił właśnie przed chwilą przybytek publicznego pokrzepiania się, gdzie to oświadczenie zostało wygłoszone. Czyżby był doprawdy utopistą? Słowo daję, raz tylko słyszałem, jak wypowiedział zdanie, które mogło zdradzać pewną skłonność w tym kierunku. Było to zaproszenie, wystosowane właśnie do starego McNaba. Heyst zwrócił się do niego z tą wytworną uprzejmością w pozie, ruchu i głosie, która stanowiła jego rys charakterystyczny, i rzekł z żartobliwym wykwintem:

– Niechże pan pójdzie z nami ugasić pragnienie, panie McNab!

Otóż to właśnie. Człowiek, który mógł proponować – choćby żartem – staremu McNabowi, aby ugasił pragnienie, taki człowiek musiał być doprawdy utopistą, goniącym za chimerami; albowiem bezpośrednią ironią Heyst nigdy nie szafował. Może właśnie dlatego lubiano go ogólnie. W tym okresie swego życia był w pełni fizycznego rozwoju; okazała jego, marsowa postać o łysej głowie i długich wąsach przypominała portrety Karola XII⁹, awanturniczej pamięci. Mimo to nic nie upoważniało do przypuszczeń, aby Heyst był pod jakimkolwiek względem człowiekiem wojowniczym.

II

Mniej więcej w tym samym czasie Heyst zawarł spółkę z Morrisonem na warunkach, o których właściwie nikt nic nie wiedział. Jedni mówili, że Heyst jest współnikiem Morrisona, inni – że przebywa u niego w charakterze płatnego gościa, ale rzeczywistość była daleko bardziej zawiła. Pewnego dnia Heyst znalazł się w Timorze. Czemu właśnie w Timorze, a nie gdziekolwiek indziej,

⁹ Karol XII Wittelsbach (1682–1718) – król Szwecji, wybitny dowódca wojskowy. [przypis edytorski]

nikt nie mógłby tego powiedzieć. Otóż Heyst włóczył się w pobliżu Delii, tego siedliska zarazy, i poszukiwał zapewne jakichś nieodkrytych jeszcze faktów, gdy natknął się na ulicy na Morrisona, który był również – po swojemu – człowiekiem „zaczarowanym”. Gdy wspomiano Morrisonowi o powrocie do kraju – a pochodził z Dorsetshire – wstrząsał się cały. Mówił, że w Anglii ciemno i wilgotno, że człowiek żyje tam, jakby tkwił głową i ramionami w mokrym worku z juty¹⁰. Ale to był tylko taki przesadny sposób wyrażania się. Morrison należał do „naszej paczki”. Był właścicielem i kapitanem handlowego brygu Capricorn¹¹ i podobno radził sobie z nim doskonale, ale miał jedną wadę: za wiele altruizmu. Ubóstwiali go mieszkańcy licznych zapadłych wiosek, leżących nad posępnymi strumieniami i nieznanymi zatokami, gdzie prowadził „handel zamienny”. Przepływał często niezmiernie niebezpieczne przesmyki, aby dotrzeć do nędznej osady i znaleźć tam zgłodniałą ludność, domagającą się ryżu; co się zaś tyczy „handlu zamiennego”, to produkty z całej owej osady nie byłyby napełniły podróźnej torebki Morrisona. Nie zważając na to, wyładowywał ryż wśród ogólnego rozradowania, tłumaczył ludziom, że to zaliczka, że są teraz jego dłużnikami, wygłaszał kazanie o energii i pracowitości, wciągał szczegółowo dług do notatnika, który zawsze nosił przy sobie – i na tym kończyła się cała transakcja. Nie wiem, czy Morrison zdawał sobie z tego sprawę, ale mieszkańcy osady nie mieli pod tym względem żadnych wątpliwości. Skoro tylko z nadbrzeżnej wsi dojrzano, że bryg się zbliża, rozpoczynało się wielkie bicie w gongi, wywieszano wszystkie flagi, dziewczęta przystrajały włosy kwiatami, tłum tłoczył się na wybrzeżu, a promieniejący Morrison patrzył z rozkoszą przez monokl¹² na to radosne podniecenie. Wzrostu był wysokiego, twarz miał chudą i gładko wygoloną; wyglądał na adwokata, który zerwał z palestrą.

Przestrzegaliśmy go często:

– Nie zobaczysz nigdy żadnej ze swoich zaliczek, jeśli będziesz tak postępował!

Robił przebiegłą minę.

– Nie bójcie się, już ja ich którego dnia przycisnę! Ale, ale – dodawał, wyciągając swój nieodłączny notatnik – przypomniałem sobie taką a taką wieś. Wcale nieźle im się teraz powodzi; wezmę się zaraz do nich na początek.

I zapisywał w notatniku srogą uwagę:

– Wycisnąć wszystko z takiej a takiej wsi za pierwszą bytnością.

Potem wsuwał ołówek z powrotem i trząsał gumką o notatnik z wyrazem nieugiętej stanowczości; tylko że owo „wyciskanie” nigdy nie następowało. Niektórzy szemrali z tego powodu, twierdząc, że Morrison dezorganizuje handel. Może i było tak rzeczywiście – ale w stopniu bardzo nieznacznym. Większość osad, z którymi handlował, nieznaną była nie tylko geografii, ale nawet i owej specjalnej wiedzy kupieckiej, którą przekazuje się ustnie, bez ostentacji, i która składa się na zasoby tajnych miejscowych wiadomości. Niektórzy dawali do zrozumienia, że Morrison ma żonę w każdej z owych wiosek, ale większość z nas odrzucała z oburzeniem te insynuacje. Był to człowiek prawdziwie ludzki i raczej asceta.

Kiedy Heyst spotkał go w Delii, szedł ulicą z monoklem zarzuconym na ramię, z głową spuszczoną, a beznadziejny jego wygląd przypominał jednego z tych niepoprawnych włóczęgów, których widuje się po drogach, jak wędrują od przytułku do przytułku. Na okrzyk Heysta zwrócił ku niemu twarz o dzikim, umęczonym wyrazie. Był zaiste w ciężkim położeniu. Przed tygodniem zawiązał do Delii i władze portugalskie, pod pozorem jakiejś niedokładności w papierach, nałożyły na niego karę pieniężną i wzięły bryg w zastaw.

Morrison nie miał nigdy w ręku zbywającej gotówki. Przy jego handlowym systemie posiadanie kapitałów byłoby rzeczą bardzo dziwną; za wszystkie swoje należności, zapisane w notatniku, nie

¹⁰ juta – tkanina z włókien rośliny o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

¹¹ Capricorn – Koziorożec. [przypis tłumacza]

¹² monokl – pojedyncze szkiełko stosowane dawniej zamiast okularów. [przypis edytorski]

byłby mógł podnieść jednego milreja¹³ – nie mówiąc już o szylingu¹⁴. Urzędnicy portugalscy prosili go, aby się nie martwił. Dali mu tydzień czasu do wystarania się o pieniądze, po czym bryg miał być sprzedany na licytacji. Ruina stała przed Morrisonem. Gdy Heyst zawołał na niego w swój zwykły, uprzejmy sposób, tydzień dobiegał już końca.

Heyst przeszedł na drugą stronę ulicy i rzekł z lekkim ukłonem – niby księżę, zwracający się w prywatnej sprawie do drugiego władcy:

– Co za miła niespodzianka! Czy nie ma pan nic przeciwko temu, abyśmy napili się czegoś w tej tam ohydnej winiarni? Słońce zanadto pali, niepodobna rozmawiać na ulicy.

Wynędniały Morrison wszedł posłusznie za Heystem do ciemnej, chłodnej lepianki, którą pogardziłby w każdej innej chwili. Był w rozpacz. Nie wiedział po prostu, co się z nim dzieje; równie łatwo można go było zaprowadzić nad brzeg przepaści. Siadł jak automat. Nie wyrzekł ani słowa, ale, zobaczywszy przed sobą kieliszek cierpkiego, czerwonego wina, wychylił go duszkiem. Tymczasem Heyst, grzeczny i czujny, siadł naprzeciw niego.

– Obawiam się, że pan ma atak febry – rzekł przyjaźnie.

Język biednego Morrisona rozwiązał się nareszcie.

– Atak febry! – zawołał. – Bodajbym miał febrę, bodajbym miał zarazę, to są przynajmniej choroby! Można sobie z nimi poradzić. Ale ja jestem zamordowany. Jestem zamordowany przez tych Portugalczyków. Ta banda zmoła mnie wreszcie. Pojutrze będę musiał poderznąć sobie gardło.

W odpowiedzi na ten namiętny wybuch Heyst podniósł z lekka brwi, wyrażając zdziwienie z dyskrecją, która by była na miejscu w salonie. Rozpaczliwy wysiłek, z jakim Morrison panował nad sobą, załamał się w końcu. Przed spotkaniem Heysta wędrował z wyschniętym gardłem wśród lepianek z błota przez tę nędzną miejscinę i milczał, nie mając żywej duszy, do której by mógł się zwrócić w swej niedoli. Rozpaczliwe myśli doprowadzały go wprost do szaleństwa. Nagle natknął się na białego człowieka – białego dosłownie i w przenośni, gdyż Morrison nie uznawał, aby portugalscy urzędnicy należeli do rasy białej – i dał się unieść gwałtownemu wybuchowi otwartości, który przyniósł mu ulgę. Wsparty łokciami o stół, mówił ochrypniętym głosem, z oczyma krwią nabiegłymi; daszek okrągłego, plecionego hełmu ocieniał jego twarz, nieogoloną i wybladłą – Białe ubranie, którego nie zdejmował od trzech dni, było brudne. Wyglądał już jak człowiek zgubiony bez ratunku. Jego widok raził Heysta, który jednak nie dał tego poznać po sobie, pokrywając wrażenie swoim wytwornym spokojem. Nie zdradzał nic ponad uprzejme zainteresowanie, które winien okazać człowiek, słuchający zwierzeń drugiego człowieka, a że taki sposób bycia udziela się zwykle otoczeniu, więc i Morrison opanował się i kończył opowiadanie w tonie konwersacyjnym, jak światowiec.

– To wstrętny spisek. Ale jestem, niestety, zupełnie bezsilny. Ten łotr Cousinho – pan wie, Andrzej – już od lat ostrzył sobie zęby na mój statek. Nigdy bym go nie sprzedał, oczywiście. To nie tylko cały mój majątek, ale i moje życie. No więc – we dwóch z naczelnikiem komory celnej uknuli ten miły spisek. Cała licytacja będzie naturalnie tylko komedią. Nie ma tu nikogo, kto by mógł podbić cenę. Bryg dostanie mu się za półdarmo – a nawet prawie zupełnie za darmo. Pan mieszka tu na wyspach już od szeregu lat. Zna pan nas wszystkich; wie pan, jak żyjemy. A teraz będzie pan miał sposobność przekonać się, jak niektórzy z nas umierają. Bo to dla mnie śmierć. Nie mogę się już łudzić. Czy pan to rozumie?

Morrison panował nad sobą, ale czuć było ostateczny wysiłek w jego sztucznym spokoju. Heyst zaczął mówić, że rozumie doskonale „wszystkie okoliczności tego fatalnego wypadku”, gdy Morrison szarpnął się nagle:

– Słowo daję, nie mam pojęcia, po co panu mówię to wszystko. Widocznie spotkanie z prawdziwym białym człowiekiem tak na mnie podziałało; nie potrafiłem ukryć swoich kłopotów.

¹³ *milreja* – dawna portugalska lub brazylijska jednostka monetarna. [przypis edytorski]

¹⁴ *szyling* – dawna brytyjska jednostka monetarna, dwudziesta część funta. [przypis edytorski]

Trudno mi to będzie wyrazić, ale kiedy panu już tyle nagadałem, mogę równie dobrze powiedzieć więcej. Niech pan posłucha. Dziś rano padłem w kajucie na kolana i modliłem się o ratunek. Padłem na kolana!

– Czy pan jest wierzący? – spytał Heyst z wyraźnym odcieniem szacunku.

– Pewnie, że nie jestem niedowiarkiem.

W natychmiastowej odpowiedzi Morrisona zabrzmiała lekka wymówka. Rozmowa się urwała; Morrison badał zapewne swoje sumienie, a Heyst zachował wyraz niezachwianego, uprzejmego zainteresowania.

– Modliłem się jak dziecko, oczywiście. Wierzę w modlitwę dziecka – no i kobiety, ale przypuszczam, że Bóg wymaga od mężczyzn więcej odpowiedzialności. Nie uznaję mężczyzn zanudzających Wszechmogącego swymi głupimi kłopotami. Uważam to za bezczelność. A jednak – dzisiaj rano... doprawdy, nie wyrządziłem nigdy świadomie krzywdy żadnemu Bożemu stworzeniu... dzisiaj rano modliłem się. Taki nagły poryw – i padłem na kolana. Z tego pan widzi —

Patrzyli sobie w oczy z powagą. Biedny Morrison dodał ze zniechęceniem:

– Tylko że to jest takie miejsce zapomniane od Boga.

Heyst zapytał oględnie, czy nie mógłby się dowiedzieć, jak wysoką jest suma, za którą wzięto bryg w zastaw.

Morrison stłumił przekleństwo i wymienił krótko sumę, która była tak niewielka, że każdy inny na miejscu Heysta byłby krzyknął ze zdziwienia. A nawet i Heyst ledwie zdołał powściągnąć niedowierzanie w głosie, gdy pytał uprzejmie, czy doprawdy Morrison nie rozporządza taką ilością pieniędzy.

Tak było rzeczywiście. Morrison miał ze sobą tylko trochę angielskiego złota, wszystkiego kilka funtów. Całą gotówkę zostawił u Tesmanów w Samarangu na wyrównanie rachunków, których termin płatności przypadał w czasie jego podróży. Oczywiście pieniądze te były dla niego równie niedostępne, jak gdyby się znajdowały na dnie piekielnej otchłani. Mówił to wszystko szorstkim tonem. Spoglądał z nagłą niechęcią na szlachetne czoło, wielkie, marsowe wąsy i zmęczone oczy człowieka siedzącego naprzeciwko. Któż to jest u diabła? I po cóż on, Morrison, siedzi tu i rozprawia o tym wszystkim? Wiedział o Heyscie tyle, co każdy z nas, handlujących na obszarze archipelagu. Gdyby Szwed wstał nagle i dał mu pięścią w nos, nie byłoby go to bardziej zdumiało od faktu, który teraz nastąpił: oto ten obcy człowiek, ten nieokreślony włóczęga rzekł z lekkim ukłonem:

– Jeżeli tylko o to chodzi, będę bardzo szczęśliwy, gdy pan mi pozwoli sobie usłużyć.

Morrison nie zrozumiał. Był to jeden z tych faktów, które się nigdy nie zdarzają – fakt niesłychany. Nie zdawał sobie sprawy, co znaczą właściwie słowa Heysta, póki ten nie rzekł wyraźnie:

– Mogę panu tę sumę pożyczyć.

– Pan ma te pieniądze? – wyszeptał Morrison – to znaczy tutaj, w kieszeni?

– Tak, mam je przy sobie. Miło mi, że mogą się panu przydać.

Morrison wytrzeszczył oczy i z otwartymi ustami jał wodzić ręką po ramieniu, szukając sznurka od monokla, który wisiał gdzieś na plecach. Znalazł go wreszcie i wetknął z pośpiechem do oka. Wyglądało to, jakby się spodziewał, że zwykłe, białe, tropikalne ubranie Heysta przemieni się w promienną szatę, spływającą aż do stóp, że z ramion jego wytryśnie para wielkich olśniewających skrzydeł – i jakby nie chciał opuścić ani jednego szczegółu tego przeobrażenia. Ale jeśli Heyst był aniołem, zesłanym z wyżyn w odpowiedzi na modlitwę, nie zdradził swego niebiańskiego pochodzenia żadną zewnętrzną oznaką. Tedy Morrison, zamiast paść na kolana zgodnie ze swoim porywem, wyciągnął tylko rękę, którą Heyst pochwycił z grzecznym pośpiechem, mruczając jakieś uprzejme słowa. Morrison dosłyszał tylko: „Drobnostka – jestem uszczęśliwiony – usłużyć...”

– A więc cuda się dzieją! – rozmyślał przejęty grozą. Dla niego – jak i dla nas wszystkich – mało było prawdopodobnym, aby Opatrzność mogła wybrać na pośrednika w sprawie dotyczącej pieniędzy tego wędrownego Heysta, który ani siał ani orał. To, że znalazł się w Timorze, czy też gdziekolwiek

indziej, było tak naturalne, jak sfrunięcie wróbla na ramę okienną w tej lub innej chwili. Ale że mógł mieć w kieszeni pewną sumę pieniędzy – ten fakt właśnie wydawał się niezrozumiałym.

Tak dalece niezrozumiałym, że gdy brnęli razem piaszczystą drogą w kierunku urzędu celnego – także lepianki z błota – aby zapłacić karę, Morrison oblał się nagle zimnym potem, stanął jak wryty i wykrzyknął urywanym głosem:

– Ale... ale czy pan nie żartuje?

– Czy nie żartuję? – Niebieskie oczy Heysta spojrzały twardo na zmieszanego Morrisona. – Jak pan to rozumie, jeśli wolno zapytać? – mówił dalej z chłodną uprzejmością.

Morrison zawstydział się.

– Niech mi pan wybaczy. Bóg musiał pana zesłać w odpowiedzi na moją modlitwę. Ale przez te trzy dni odchodziłem prawie od zmysłów ze zmartwienia i teraz nagle przyszło mi na myśl: a jeśli to diabeł go posłał?

– Nie mam nic wspólnego ze sprawami nadprzyrodzonymi – odrzekł Heyst uprzejmie, idąc obok Morrisona. – Nikt mnie nie posłał. Po prostu znalazłem się na pańskiej drodze.

– Już ja wiem lepiej – zaprzeczył Morrison. – Nie jestem tego godzien, ale zostałem wysłuchany. Czuję to. Bo skądżeby mi pan zaproponował – —

Heyst skłonił głowę, jak gdyby chciał wyrazić szacunek dla przekonania, którego nie mógł sam podzielić. Ale utrzymywał w dalszym ciągu, że wobec tak ohydneho faktu postępowanie jego było przecież zupełnie naturalne.

Później, gdy kara została już zapłacona i obaj mężczyźni znaleźli się na pokładzie brygu, uwolnionego od straży, Morrison, który był nie tylko dżentelmenem, ale i człowiekiem uczciwym, zaczął mówić o spłaceniu długu. Znał dobrze swoją niezdolność do zaoszczędzenia jakiegokolwiek sumy. Wpływało to po części z warunków, po części zaś z jego usposobienia i byłoby rzeczą bardzo trudną ustalić, ile winy spada na każdy z tych czynników. Nawet sam Morrison, zwracając się Heystowi, nie umiał tego ująć. Oświadczył ze znużeniem, że taki już widać jego los.

– Nie rozumiem, co to znaczy, ale nigdy nie mogłem nic sobie odłożyć. To doprawdy jakieś przekleństwo. Zawsze znajdzie się parę rachunków, które trzeba zapłacić.

Wsadził rękę do kieszeni, szukając słynnego notatnika, który znano tak dobrze na wyspach, notatnika, zawierającego wszystkie jego nadzieje. Zaczął gorączkowo przerzucać kartki.

– A jednak widzi pan – ciągnął – o, tutaj: winni mi są więcej niż pięć tysięcy dolarów! To przecież coś znaczy.

Nagle urwał. Heyst, który przez cały czas usiłował przybrać minę jak najobojetniejszą, mruknął coś uspakajająco. Ale Morrison był nie tylko uczciwy; był także człowiekiem honoru. W tym ciężkim dniu, w obliczu niezwykłego wystąpienia Opatrzności, dokonał się zasadniczy przewrót w jego uczuciach: Morrison zdobył się na akt wyrzeczenia; zerwał ze złudzeniami, którym ulegał przez całe życie.

– Nie, nie. Nic z tego nie będzie. Nie potrafię ich nigdy przycisnąć. Nigdy. Przez całe lata mówiłem, że to zrobię; ale teraz kładę na tym krzyżyk. Właściwie to nigdy nie wierzyłem, że się na to zdobędę. Niech pan się tego nie spodziewa. Ograбіłem pana.

Biedny Morrison oparł dosłownie głowę o stół kabiny i trwał w tej zgębionej postawie, a Heyst przemawiał do niego z najwyszukańszą grzecznością, starając się go uspokoić. Był równie strapiony jak Morrison, gdyż przenikał na wskroś jego uczucia. Heyst nie pogardzał nigdy żadnym godziwym uczuciem. Ale nie umiał wcale okazywać serdeczności i cierpiał dotkliwie nad tym swoim brakiem. Wyszukana uprzejmość nie jest odpowiednim lekarstwem na depresję. Obaj musieli przejść wówczas ciężkie chwile w kabinie na brygu. Wreszcie upadły na duchu Morrison, szukając rozpaczliwie jakiegoś wyjścia z sytuacji, wpadł na myśl, aby zaproponować Heystowi podróżowanie na brygu i podział zysków z przedsiębiorstw handlowych, póki dług nie zostanie wyrównany.

Fakt, że Heyst mógł w ogóle przyjąć tę propozycję, jest najlepszym dowodem, jak dalece nieustalone i oderwane pędził życie. Nie ma racji przypuszczać, aby odpowiadała mu wtedy specjalnie

wędrówka po wszystkich dziurach i zakątkach archipelagu, gdzie koncentrował się prawie cały handel Morrisona. Nic podobnego. Ale byłby przystał na jakikolwiek układ, byle tylko położyć kres dręczącej scenie, która rozgrywała się w kajucie. Wobec zgody Heysta nastąpił zasadniczy zwrot w sytuacji. Morrison podniósł wynędzniałą twarz i, założywszy monokl, spojrział serdecznie na Heysta, po czym odkorkowano butelkę – i tak dalej. Postanowili, że nie powiedzą nic nikomu o przebiegu całej sprawy. Łatwo zrozumieć, że Morrison nie był dumny z tej historii i bał się, iż go niemiłosiernie wyszydzą.

– Taki stary wyga jak ja! I dałem się wciągnąć w zasadzkę tym przeklętym łotrom portugalskim! Prześladowano by mnie tym bez końca. Musimy zachować to w tajemnicy.

Heystowi zależało jeszcze bardziej na przemilczeniu całej sprawy z przyczyn zupełnie odmiennych, a głównie z powodu wrodzonej delikatności. Rola niebiańskiego wysłańca, którą Morrison chciał narzucić swemu wybawcy, byłaby przykrą dla każdego i Heyst miał do niej odrazę. A może nie życzył sobie, aby wiadano, że posiada pewne środki – choćby niewielkie – dzięki którym może udzielać pożyczek. Ta ich rozmowa w kajucie przypominała duet spiskowców z opery komicznej: „Cicho, sza! tajemnica! tajemnica!” Musiało to być bardzo zabawne, gdyż obaj przejęli się tym najpoważniej w świecie.

I rzeczywiście, do pewnego czasu udało się tak dobrze całą sprawę zakonspirować, iż orzekliśmy wszyscy, że poczciwy Morrison utrzymuje Heysta; niektórzy zaś wyrażali się, że Heyst nabiera głupiego Morrisona. Ale wiadomo, jak to bywa ze wszystkimi takimi sekretami. Zawsze się znajdzie jakaś szparka, którejdy prawda przecieka. Morrisona, który nie odznaczał się specjalną dyskrecją, rozsadzała po prostu wdzięczność i pod naciskiem pytań musiało mu się zapewne wyrwać coś nieokreślonego – na zer plotkującym. A wiadomo także, jak dobrotliwymi komentarzami świat zaopatruje fakty, których nie rozumie. Rozeszła się pogłoska, że Heyst, zdobywszy jakąś tajemniczą władzę nad Morrisonem, przyczepił się do niego i wysysa go bez litości. Ci, którzy mieli sposobność dotrzeć do źródła tych pogłosek, ani przez chwilę nie brali ich na serio. Twórcą ich był – jak się zdaje – niejaki Schomberg, wysoki, brodaty osobnik o męskiej postawie i teutońskich przekonaniach, tudzież o nieposkromionym języku, którym mełł bez wytchnienia. Czy był rzeczywiście oficerem rezerwy – jak utrzymywał – nie umiem powiedzieć. Na wschodzie uprawiał zawód hotelarza – najpierw w Bangkoku, potem w jakimś innym mieście i wreszcie w Sourabayi. Wędrując tu i ówdzie po tej części podzwrotnikowego pasa, ciągnął za sobą wszędzie milczącą, zalekłą kobiecinę o długich lokach i głupawym uśmiechu, odsłaniającym niebieski ząb. Nie rozumiem, czemu tak wielu z nas popierało różne gospody tego hotelarza. Był skończonym osłem i nasyczał swoją żądzą głupich plotek, ostrząc sobie język na własnych gościach. Pewnego wieczoru, gdy Morrison i Heyst, nie zaliczający się do jego stałych bywalców, przechodzili obok hotelu, szepnęła tajemniczo do mieszanej kompanii, zebranej na werandzie:

– O, widzieliście państwo pająka i muchę?

Po czym dodał znacząco i poufnie, osłaniając usta grubą łapą:

– Jesteśmy tu w swoim kółku, więc powiem wam tylko to, moi panowie: unikajcie tego Szweda. Strzeżcie się jego sideł!

III

Wiadomo, że natura ludzka skłonna jest zarówno do głupoty jak do małostkowości: więc też niektórzy udawali, że się oburzają na Heysta – nie mając ku temu żadnej innej podstawy poza ogólnoludzką skłonnością do wierzenia wszelkim złośliwym pogłoskom – inni zaś uznali po prostu za pyszny kawał nazywanie Heysta pajakiem – za jego plecami, naturalnie. Nie zamąciło to pogody Heysta, który nic o tym nie wiedział, tak jak i o poprzednich przewiskach. Ale wkrótce zaczęto o nim opowiadać wiele innych rzeczy, gdy wybił się jako wielki aferzysta. Skrystalizował się w coś wyraźnego. Wyrósł w naszych oczach na miejscowego dyrektora Podzwrotnikowej Spółki Węglowej

z biurami w Londynie i Amsterdamie i tak dalej – co brzmiało i wyglądało wspaniale. Biura w obydwu stolicach mogły się składać – i prawdopodobnie składały się – z jednego pokoju; ale z tego oddalenia, hen, z dalekiego wschodu, wszystko przybierało wygląd imponujący. Byliśmy tym właściwie raczej zaskoczeni niż olśnieni, ale nawet i najtrzeźwiejsi zaczęli myśleć, że jednak coś jest w tym wszystkim. Tesmanowie mianowali agentów, kontrakt z rządowymi parowcami został podpisany, epoka pary zaczęła się na wyspach – dokonywał się wielki krok naprzód – krok Heysta.

A wszystko to wynikało ze spotkania Heysta-wędrowca z Morrisonem, zagnanym w położenie bez wyjścia, które to spotkanie było – albo i nie było – doraźnym skutkiem modlitwy. Morrison, człowiek bynajmniej nie głupi, zabrnął w stosunku do Heysta w mgliste uczuciowe komplikacje. Jeżeli Heyst z pieniędzmi w kieszeni został odkomenderowany bezpośrednim dekretem Opatrzności, jako odpowiedź na modlitwę Morrisona, w takim razie nie było powodu do specjalnej wdzięczności, odegrał bowiem tylko rolę narzędzia. Ale Morrison wierzył jednocześnie i w skuteczność swojej modlitwy, i w nieograniczoną dobroć Heysta. Dziękował Bogu za łaskę ze szczerą pokorą, a zarazem nie mógł się dość nadziękować Heystowi za przysługę, którą Szwed mu wyświadczył z ludzką solidarnością. W tym (bardzo zresztą zrozumiałym) powikłaniu uczuć wdzięczność Morrisona domagała się, aby Heyst brał także udział w wykorzystaniu wielkiego odkrycia. Dowiedzieliśmy się wreszcie, że Morrison pojechał do Anglii przez Kanał Sueski, aby w Londynie torować osobiście drogę wspaniałym planom węglowym. Rozstał się ze swym brygiem i znikł nam z oczu. Słyszeliśmy, że Heyst odebrał od niego list, czy kilka listów, donoszących, że Londyn jest zimny i ponury, że ani ludzie tamtejsi, ani rzeczy mu nie odpowiadają, że jest „samotny jak wrona w obcym kraju”. W rzeczywistości tęsknił za swoim *Capricornem* – nie myślę tu wyłącznie o zwrotniku, lecz także o okręcie. Wreszcie pojechał do Dorsetshire w odwiedziny do krewnych, zaziębił się i umarł z piorunującą szybkością na łonie przerażonej rodziny. Nie umiałbym powiedzieć, czy to wysiłki Morrisona w City londyńskiej podkopały jego zdrowie, ale jestem przekonany, że jego starania tchnęły życie w projekt węglowy. Tak czy owak Podzwrotnikowa Spółka Węglowa przysłała na świat w krótki czas potem, gdy Morrison – ofiara wdzięczności i rodzimego klimatu – spoczął obok przodków na cmentarzu w Dorsetshire.

Śmierć Morrisona wstrząsnęła Heystem. Dowiedział się o niej na Molukkach za pośrednictwem Tesmanów – i znikł na pewien czas z horyzontu. Zdaje się, że siedział w Amboynie u przyjaciela, Holendra, lekarza rządowego, który pielęgnował go w swojej willi. Nagle Heyst zjawił się znowu na wyspach. Oczy miał wpadnięte, a z obejścia jego przebijała pewna ostrożność, jakby się lękał, że mogą go spotkać wyrzuty za śmierć Morrisona.

O święta naiwności! Któż by się o to troszczył... Żadnego z nas nie obchodzili ani trochę ci, którzy wracali do kraju. Uważaliśmy, że dobrze im się dzieje – i już wcale nie brało się ich w rachubę. Podróż do Europy wydawała się prawie równie ostateczną jak podróż do nieba. Usuwała człowieka ze świata hazardu i przygód.

Ściśle mówiąc, wielu z nas posłyszało o śmierci Morrisona dopiero w kilka miesięcy później z ust Schomberga, który obdarzał Heysta bezinteresowną antypatią i ukuł plotkę, wygłaszaną zazwyczaj ponurym szeptem:

– Widzicie panowie, do czego doprowadza zadawanie się z tym gagatkiem. Wyciśnie człowieka jak cytrynę, a potem kopnie i wyprawia do domu po śmierć! Niechaj los Morrisona będzie dla każdego przestrogą.

Śmieliśmy się naturalnie z tych aluzji do jakichś mętnych tajemnic. Kilku z nas słyszało, że Heyst ma jechać do Europy, aby popchnąć osobiście węglową aferę, ale do tego nigdy nie doszło – okazało się to zbyt czynnym. Spółka powstała bez czynnego współudziału Heysta, a nominację na dyrektora okręgu podzwrotnikowego odebrał poczta.

Heyst obrał od razu Samburan, czyli Okrągłą Wyspę, na stację centralną. Podawano sobie z rąk do rąk kilka egzemplarzy prospektu, drukowanego w Europie, który dotarł aż na daleki wschód. Zachwycaliśmy się mapą, dołączoną do prospektu ku zbudowaniu akcjonariuszów. Jako

punkt centralny wschodniej półkuli widniał tam Samburan wydrukowany olbrzymimi literami. Promienie grubych linii rozchodziły się od niego w różnych kierunkach, przecinając zwrotniki i tworząc tajemniczą, efektowną gwiazdę; miało to oznaczać linie wpływów, czy linie odległości, czy też coś w tym rodzaju. Założyciele spółek mają zupełnie odrębną wyobraźnię. Nie ma na świecie ludzi bardziej romantycznie usposobionych. Na Samburanie pojawili się inżynierowie, sprowadzono kulisów¹⁵, zbudowano domki i wykopano galerię w górskim zboczu, wydobywając rzeczywiście trochę węgla.

Te fakty przekonały nawet najoporniejszych. Przez jakiś czas każdy mieszkaniec wysp mówił o Podzwrotnikowej Spółce Węglowej i nawet ci, którzy uśmiechali się obojętnie, kryli tylko swój niepokój. A więc tak! stało się; i każdy mógł przewidzieć, jakie skutki z tego wynikną: zagłada dla poszczególnych żeglarzy, zmiecionych przez wielką inwazję parostatków. Nie mogliśmy sobie pozwolić na kupno parowców. Nie było nas stać na to. A Heyst został dyrektorem.

– Pan wie – Heyst, zaczarowany Heyst. No patrzcie państwo! Jak tylko sięgnąć pamięcią, nigdy nie był niczym lepszym od włóczęgi!

– Tak – i mówił, że poszukuje faktów. No więc znalazł teraz fakt – i to taki, że da radę od razu nam wszystkim – mówił jakiś rozgoryczony głos.

– I to ma być postęp! Do licha z tym wszystkim! – mruczał inny.

Nigdy jeszcze nie rozprawiano tyle o Heystcie w pasie podzwrotnikowym.

– Zdaje się, że on jest szwedzkim baronem, czy czymś w tym rodzaju?

– On, baronem? Dajże spokój!

Co do mnie, nie wątpiłem ani przez chwilę, że ma ten tytuł rzeczywiście. Powiedział mi to sam przy pewnej sposobności, w czasach, gdy snuł się jeszcze po wyspach, zagadkowy i lekceważony, niby jakiś duch bez znaczenia. Działo się to na długo przedtem, zanim zmaterializował się w sposób tak zastraszający jako niszczyciel naszego drobnego handlu – Heyst-nieprzyjaciół.

Weszło w modę mówienie o Heystcie jako o nieprzyjaciół. Stał się obecnie czymś bardzo konkretnym i widocznym. Rzucił się po całym archipelagu; wskakiwał do miejscowych statków pocztowych, wysiadał tu, i tam, i ówdzie – zupełnie jakby to były tramwaje. Całą duszą oddał się organizacji. To już nie była włóczęga; to była praca. Nagłe rozwinięcie wytężonej energii Heysta zachwiało skuteczniej niedowierzaniem największych sceptyków niż jakikolwiek wywód naukowy o wartości tych pokładów węgla. Zrobiło to wrażenie na wszystkich. Jeden jedyny Schomberg nie uległ zwrotowi opinii. Wielki, tegi, o męskiej postawie i okazałej brodzie, podchodził ze szklanką piwa w grubej łapie do stolika, gdzie omawiano najnowsze plotki, i przysłuchiwał się przez chwilę, po czym występował z niezmiennym oświadczeniem:

– Wszystko to bardzo pięknie, moi panowie, ale mnie on swoim pyłem węglowym oczu nie zasypie. Nic z tego nie będzie. I jakżeby mogło być? Taki drab, jak on, na dyrektora? Phy!

Czy była to przenikliwość głupiej nienawiści, czy po prostu idiotyczny upór, który czasem wpływa na bieg rzeczy w sposób najbardziej zdumiewający? Wielu z nas pamięta podobne przykłady zwycięskiego triumfu głupoty. Ten osioł Schomberg także zatriumfował. Podzwrotnikowa Spółka Węglowa została zlikwidowana, jak na początku zaznaczyłem. Tesmanowie umyli ręce. Rząd unieważnił sławetne kontrakty. Gadanina ucichła i wkrótce potem zauważono, że Heyst gdzieś przepadł. Stał się niewidzialny, tak jak w dawnych czasach, kiedy zniknął z horyzontu, aby wyzwolić się spod czaru „tych wysp”, uciekając w stronę Nowej Gwinei czy Sajgonu – do ludożerców albo do kawiarni. Zaczarowany Heyst! Czy wyzwolił się wreszcie spod czaru? A może umarł? Znadto byliśmy obojętni, aby się tym prawdziwie interesować. Lubiliśmy go na ogół, a lubienie nie wystarcza, by podtrzymać czas dłuższy zajęcie się jakąś ludzką istotą. Z nienawiścią rzecz ma się odwrotnie. Schomberg nie mógł Heysta zapomnieć. Ten zapalczywy i męski okaz Niemca umiał dobrze nienawidzić. Często tak bywa z głupcami.

¹⁵ *kulis* – niskopłatny robotnik azjatycki, tragarz. [przypis edytorski]

– Dobry wieczór panom! Czy panowie otrzymali wszystko, czego sobie życzą? To dobrze. No, i co ja panom zawsze mówiłem? Aha! Że z tego nic nie będzie. Wiedziałem o tym. Ale o jednej rzeczy chciałbym się jeszcze dowiedzieć: co się też stało z tym – Szwedem.

Podkreślał wyraz Szwed, jak gdyby to znaczyło: łotr. Nie cierpiał w ogóle Skandynawów. Dlaczego? Bóg jeden raczy wiedzieć. Niepodobna przeniknąć takiego durnia. Po chwili ciągnął dalej:

– Będzie już z pięć miesięcy, albo i więcej, jak nie zdarzyło mi się spotkać nikogo, kto by go widział.

Jak już zaznaczyłem, niewiele nas to obchodziło; ale Schomberg nie mógł tego naturalnie zrozumieć. Był tępy aż do śmieszności. Gdy się tylko trzech gości zjawilo w jego gospodzie, nie omieszkał się postarać, aby i Heyst był z nimi.

– Mam nadzieję, że się ten gagatek nie utopił – dodawał z komiczną powagą, która powinna była o dreszcz nas przyprawić; ale gromadka nasza nie była przenikliwa i nie rozumiała psychologicznych motywów tego pobożnego życzenia.

– Dlaczego? Pewno Heyst dłużny jest panu za trunki, co? – spytał ktoś z lekką pogardą.

– Za trunki? Nic podobnego!

Hotelarz nie był człowiekiem interesownym; cechę tę spotyka się dość rzadko w teutońskim charakterze. Wyjawil natomiast z ponurą miną, że Heyst nie odwiedził nawet trzy razy jego „zakładu”. To była właśnie owa zbrodnia, za którą Schomberg życzył Heystowi – ni mniej ni więcej – tylko długiej i udręczonej egzystencji. Oto mamy teutoński zmysł proporcji i rozkoszne usposobienie, nie pamiętające uraz.

Nareszcie pewnego wieczora ujrzano Schomberga, podchodzącego do grupy stałych gości. Był najwidoczniej uszczęśliwiony. Prostował męską pierś z wielką godnością.

– Proszę panów, mam o nim wiadomości. O kim? No o tym Szwedzie. Siedzi wciąż na Samburanie. Wcale się stamtąd nie ruszał. Spółka przepadła, inżynierowie wyjechali, urzędnicy wyjechali, kulisi wyjechali – wszyscy wyjechali; ale on siedzi na miejscu. Kapitan Davidson wracał z zachodu i widział go na własne oczy. Zobaczył coś białego na wybrzeżu; więc skierował parowiec do zatoki i przybił do brzegu w małej łódce. Patrzy – a to doprawdy Heyst. Stoi sobie i chowa książkę do kieszeni. Ugrzeczniiony, jak zawsze! Oświadczył, że chodzi po wybrzeżu i czyta. „Pozostałem tu w charakterze właściciela”, mówi do kapitana Davidsona. „Chciałbym ja wiedzieć, co on tam ma do jedzenia. Kawałek suchej ryby od czasu do czasu – i nic więcej. No nie? I pomyśleć, że przyszło na to człowiekowi, który wydziwiał nad moim *table-d'hôte*¹⁶!

Mrugnął z niezmierną złośliwością. W tej chwili właśnie rozległ się dzwonek i Schomberg poprowadził gości do jadalnego pokoju – niby do świątyni – krocząc poważnie na czele z miną dobroczyńcy ludzkości. Ambicją jego było żywić ludzkość w zamian za okazałą cenę, a największą rozkoszą – obgadywać gości za plecami. Napawanie się myślą, że Heyst nie ma nic porządnego do zjedzenia, doskonale go charakteryzowało.

IV

Niektórzy z nas, interesując się bardziej Heystem, zwrócili się do Davidsona po szczegóły. Nie było ich wiele. Opowiedział nam, że chciał się dowiedzieć, co się dzieje na Samburanie, i przepłynął na północ od wyspy. Z początku wydało mu się, że z tej strony wybrzeże zupełnie jest opustoszałe. Tego się właśnie spodziewał. Wkrótce nad zwartą masą roślinności, pokrywającej Samburan, zobaczył drzewce sztandaru bez flagi. Potem, gdy płynął przez płytkie wgłębienie, znane swego czasu pod oficjalną nazwą Zatoki Czarnych Diamentów, dostrzegł przez lunetę białą postać na wybrzeżu. Nie mógł to być nikt prócz Heysta.

¹⁶ *table-d'hôte* (fr.) – menu proponujące parudaniowy posiłek w kilku wariantach. [przypis edytorski]

– Byłem przekonany, że chce, aby go zabrać, więc skierowałem się ku brzegowi. Nie dawał żadnych znaków. Mimo to spuściłem łódkę. Nie było naokoło żywego stworzenia. Trzymał w ręku książkę i wyglądał co do joty tak jak dawniej: czyściutkie ubranie, białe trzewiki, hełm korkowy. Tłumaczył mi, że zawsze miał zamiłowanie do samotności. Pierwszy raz to słyszę! – rzekłem mu na to. Uśmiechnął się tylko. I cóż mu miałem powiedzieć? Z tym człowiekiem nie można jakoś rozgadać się poufale. Coś takiego w nim siedzi. – Nie ma się ochoty.

– Ale po co pan tu siedzi? Czy pan zamierza objąć nadzór kopalni? – zapytałem.

– „Coś w tym rodzaju – odpowiedział. – Pilnuję tego”.

– „Przecież z tego nic już nigdy nie będzie! – zawołałem. – To fakt niezbity, że nie ma tu po co siedzieć”.

– „Och, co do faktów, skończyłem z nimi raz na zawsze” – odrzekł i porywczym ruchem podniósł rękę do hełmu w krótkim ukłonie.

Tak odprawiony Davidson wrócił na pokład, wyprowadził statek z zatoki i, odjeżdżając, śledził z pomostu Heysta, który szedł brzegiem wzdłuż bulwaru. Zanurzył się w wysoką trawę i zniknął, tylko wierzch białego korkowego hełmu zdawał się płynąć po zielonym morzu. Wkrótce zapadła się i ta biała plamka, jakby wessana przez żywą głąb tropikalnej roślinności, która – bardziej od oceanu zazdrosna o ludzkie podboje – pochłaniała ostatnie resztki zlikwidowanej „Podzwrotnikowej Spółki Węglowej – A. Heyst, dyrektor Wschodniego Oddziału”.

Davidson, człowiek dobry i pełen prostoty, dziwnie był tym poruszony. Trzeba zaznaczyć, że bardzo mało wiedział o Heyscie. Należał do ludzi, których wytworna uprzejmość słów i postawy Szweda zbijała z tropu najzupełniej. Sam zaś odznaczał się prawdopodobnie wielką subtelnością uczuć, ale jeśli chodzi o zewnętrzną ogładę, nie miał jej więcej od każdego z nas. Tworzyliśmy bezceremonialną bandę, rządzącą się według własnych zasad, nie gorszych – śmiem twierdzić – od zasad innych ludzi; ale ogłada nie należała do głównych naszych zalet. A jednak subtelność Davidsona była tak istotna, że zmieniała drogę parowca, którym dowodził. Zamiast przepływać na południe od Samburana, powziął zwyczaj okrążania wyspy od północy, mniej więcej o milę od bulwaru.

– Jeśli będzie miał ochotę nas widzieć, to nas zobaczy – zauważył Davidson. – Zastanowił się chwilę i dodał: – Słuchajcie no, mam nadzieję, że nie weźmie mnie za natręta – co?

Uspokoił obawy Davidsona co do poprawności jego zachowania. Morze jest otwarte dla wszystkich.

To lekkie zboczenie z drogi dodawało coś około dziesięciu mil do okólnej podróży, ale ponieważ długość całego objazdu wynosiła tysiąc sześćset mil, nie robiło to już wielkiej różnicy.

– Mówiłem o tym mojemu pryncypałowi – wyjaśnił sumienny komendant Sissie.

Właściciel Sissie miał twarz podobną do zwiędłej cytryny. Mały był i pomarszczony, co mogło wydać się dziwnym, bo Chińczyk rośnie zwykle wszczepnie i wzdłuż w miarę tego, jak mu się powodzi. Służba w chińskiej firmie jest wcale¹⁷ korzystna. Gdy zwierzchnik nabierze przekonania, że się z nim uczciwie postępuje, obdarza zaufaniem wprost nieograniczonym. Wszystko, co robi, jest dobre. Więc też stary Chińczyk Davidsona skrzypiał pośpiesznie:

– Dobrze, dobrze, dobrze. Niech kapitan robi, co mu się żywnie podoba.

I na tym się kończyło; jednak niezupełnie. Od czasu do czasu Chińczyk dopytywał się o białego człowieka. – Ciągłe tam jeszcze siedzi, co?

– Nigdy go nie widać – musiał wreszcie wyznać Davidson swemu pryncypałowi, który spoglądał na niego w milczeniu przez okrągłe okulary w rogowej oprawie, kilkakrotnie za duże w stosunku do jego małej, starej twarzy. – Nigdy go nie widać.

A do mnie mówił przy sposobności:

¹⁷ *wcale* (daw.) – całkiem. [przypis edytorski]

– Nie wątpię ani na chwilę, że on tam jest. Kryje się. To bardzo nieprzyjemne. – Davidson był trochę zły na Heysta. – To zabawne – ciągnął dalej. – Ze wszystkich ludzi, z którymi się widuję, nikt nigdy o niego nie zapyta prócz mojego Chińczyka – i Schomberga – dodał po chwili.

Tak, naturalnie – i Schomberga. Ten wypytywał każdego o wszystko i usłyszaną wiadomość przyrządzał w sposób najbardziej skandaliczny, na jaki tylko było stać jego wyobraźnię. Podchodził do nas niekiedy, a jego mrugające, podpuchnięte oczy, grube wargi, a nawet i kasztanowata broda – wszystko było pełne złośliwości.

– Dobry wieczór panom! Czy panowie czego nie potrzebują? Nie? To dobrze. No więc – mówiono mi, że dżungla połknęła już ostatnie budy nad Zatoką Czarnych Diamentów. Naprawdę! On siedzi teraz jak pustelnik na puszczy. Co też ten dyrektor może tam dostać do jedzenia? Nie umiem sobie tego wyobrazić!

Czasami jakiś obcy gość pytał ze zrozumiałym zaciekawieniem:

– Kto taki? Jaki dyrektor?

– Ech, to tam jeden Szwed – odpowiadał z ponurym naciskiem, jak gdyby mówił: jeden bandyta. – Znają go tu dobrze. Został pustelnikiem ze wstydu. Tak właśnie postępuje diabeł, gdy się na nim poznają.

Pustelnik – oto ostatnie z mniej lub więcej dowcipnych przezwisk, które przyczepiono Heystowi podczas jego bezcelowych pielgrzymek w tej części pasa tropikalnego, gdzie bezmyślne plotkarstwo Schomberga drażniło nam uszy.

Ale zdaje się, że Heyst nie został pustelnikiem z zamyślenia. Widok bliźnich nie był mu nieprzepracowane wstrętne. Musimy tak sądzić, ponieważ z tych czy owych przyczyn opuścił na krótko swoje schronienie. Może chciał się tylko przekonać, czy nie ma dla niego listów w biurze Tesmanów? Nie wiem. I nikt tego nie wie. Ale powrót Heysta dowodził, że jego oderwanie od świata nie było zupełne. Wszelka zaś niezupełność jest źródłem kłopotów. Aksel Heyst nie powinien był troszczyć się o swoje listy, czy też inne sprawy, które sprowadziły go do Sourabai po więcej niż półtorarocznym pobycie na Samburanie. Ale cóż na to poradzić? Nie miał powołania na pustelnika – w tym cała bieda.

Bądź co bądź zjawił się nagle na horyzoncie: szeroka pierś, łyse czoło, długie wąsy, uprzejme obejście i tak dalej – słowem Heyst we własnej osobie, aż do zapadłych oczu o życzliwym spojrzeniu, przyćmionym jeszcze śmiercią Morrisona. Oczywiście Davidson wydobył go z jego zatraczonej wyspy. Nie było innego sposobu wydostania się stamtąd, chyba przejazd na jakimś statku krajowców, okazja zresztą rzadka i mało pociągająca. Jakoż przybyli obaj z Davidsonem, któremu Heyst oznajmił, że wybrał się na krótko, na jakieś kilka dni, po czym zamierza wrócić na Samburan.

Gdy Davidson oświadczył na to ze zgrozą, że podobna niedorzeczność jest nie do wiary, Heyst wyjaśnił, iż po zawiązaniu się Spółki Węglowej polecił wysłać swoje rzeczy z Europy na Samburan.

I dla Davidsona, i dla nas wszystkich osłupiająco nową była myśl, że Heyst – ten wędrowny, niesiony prądem, nigdzie nie osiadły Heyst – jest właścicielem jakichś sprzętów, nadających się do umeblowania domu. To było fantastyczne i dziwaczne – tak jakby ptak posiadał coś na własność.

– Rzeczy? To znaczy krzesła i stoły? – spytał Davidson z jawnym zdumieniem.

Heyst miał to właśnie na myśli.

– Biedny mój ojciec umarł w Londynie. Odtąd wszystko było tam na przechowaniu – objaśnił.

– Przez cały ten czas? – zawołał Davidson i uprzytomnił sobie, od jak dawna już znamy Heysta snującego się puszcza wśród drzew.

– Nawet jeszcze dawniej – odrzekł Heyst, który go doskonale rozumiał.

Dawał tym do zrozumienia, że jego wędrówka zaczęła się, zanim jeszcze się dostał pod naszą obserwację. W której stronie świata? W jakich zamierzczłych czasach? Tajemnica. Może był ptakiem, który nigdy nie miał gniazda.

– Z nauką skończyłem wcześniej – rzekł raz w czasie podróży do Davidsona. – Byłem w szkole w Anglii. Bardzo dobra szkoła. Ale nie święciłem tam wielkich triumfów.

To były zwierzenia Heysta. Żaden z nas nigdy nie usłyszał tak wiele z jego dziejów – prawdopodobnie z wyjątkiem Morrisona, który już nie żył. Wynikałoby stąd, że pustelnicze życie posiada moc rozwiązywania języka – nieprawdaż?

Podczas owego pamiętnego przejazdu na Sissie trwającego około dwóch dni, Heyst napomknął jeszcze Davidsonowi o innych szczegółach ze swego życia – gdyż były to napomknienia, nie informacje. Davidsona bardzo to zajmowało. A zajmowało go nie tylko dlatego, że treść była interesująca, ale i z powodu wrodzonej nam wszystkim ciekawości – tego charakterystycznego rysu ludzkiej natury. Przy tym życie Davidsona, który krążył na Sissie wzdłuż Morza Jawajskiego i z powrotem, było wybitnie monotonne i w pewnym znaczeniu – samotne. Na statku nie miał nigdy żadnego towarzystwa. Od podróżujących krajowców roilo się na pokładzie, ale biali pasażerowie nie zdarzali się nigdy i dwudniową obecność Heysta Davidson uznał pewnie za dar niebios. Opowiedział nam później to wszystko. Heyst mówił mu także o swoim ojcu, który napisał mnóstwo książek. Był filozofem.

– Zdaje mi się, że musiał przy tym mieć bzika – twierdził Davidson. – Pokłócił się widać ze swoją rodziną w Szwecji. W sam raz ojciec dla Heysta. Czyż i on nie ma lekkiego bzika? Mówił mi, że zaraz po śmierci ojca puścił się w świat samopas i wędrował bez ustanku, póki nie natknął się na ten sławny interes węglowy. To tak jakoś pasuje do syna jego ojca – czy nie?

Poza tym Heyst był równie grzeczny jak zawsze. Spytał, ile jest winien za przejazd, a gdy Davidson nie chciał słyszeć o zapłacie, chwycił go serdecznie za rękę, skłonił się dwornie po swojemu i oświadczył, że jest wzruszony przyjacielskim jego postępowaniem.

– Nie mam na myśli tej drobnej kwoty, której pan nie chce przyjąć – ciągnął, potrząsając ręką Davidsona. – Ale jestem wzruszony humanitaryzmem pana. – Drugie potrząśnięcie ręką. – Niech mi pan wierzy, oceniam w całej pełni dobroć, której od pana doznałem. – Ostatnie potrząśnięcie ręką. To wszystko miało oznaczać, że Heyst dobrze zrozumiał okazywanie się Sissie co pewien czas w pobliżu jego pustelni.

– To prawdziwy dżentelmen – mówił nam Davidson. – Było mi doprawdy przykro, kiedy go na brzeg wysadziłem.

Spytaliśmy, gdzie zostawił Heysta.

– No, gdzieżby jak nie w Sourabayi?

Główny kantor Tesmanów znajdował się w Sourabayi. Stosunki między Heystem i Tesmanami istniały już od dawna. Dziwaczny fakt, że pustelnik miał agentów, nie raził nas wcale, tak samo jak i absurd, polegający na tym, iż zapomniany, odepchnięty, opuszczony dyrektor nieudanego, upadłego, zatraconego przedsiębiorstwa prowadzi jakieś interesy. Odrzekliśmy: „Naturalnie, że w Sourabayi!” i wyraziliśmy przypuszczenie, że Heyst zatrzyma się u któregoś z Tesmanów. Jeden z nas ciekaw był bardzo, jakiego też Heyst dozna przyjęcia, bo wiadano ogólnie, że Juliusz Tesman niepomniernie był rozgoryczony upadkiem Podzwrotnikowej Spółki Węglowej. Ale Davidson sprostował nasze domysły. Nic podobnego – Heyst zamieszkał w hotelu Schomberga, przybiwszy do brzegu w hotelowej szalupie – Schomberg oczywiście ani myślał posyłać szalupy na spotkanie Sissie, zwykłego handlowego statku. Wyjechała naprzeciw pocztowego parowca i przyzwano ją znakami. U steru siedział Schomberg we własnej osobie.

– Trzeba było widzieć wytrzeszczone gały Schomberga, gdy Heyst wskoczył do szalupy, trzymając starą torbę z brązowej skóry! – opowiadał Davidson. Udał, że nie zna Heysta – przynajmniej w pierwszej chwili. Nie wysiadłem na ląd razem z nimi. Zatrzymaliśmy się wszystkiego parę godzin. Wyładowałem dwa tysiące orzechów kokosowych i odpłynąłem. Umówiliśmy się, że zabiorę Heysta, gdy będę przejeżdżał z powrotem za dwadzieścia dni.

V

Tak się złożyło, że Davidson spóźnił się o dwa dni w powrotnej drodze; nie było to, naturalnie, nic ważnego, postanowił jednak wysiąść natychmiast po przyjeździe, w czasie największego popołudniowego skwaru, aby odszukać Heysta. Hotel Schomberga stał w głębi rozległego ogrodzenia, gdzie mieścił się ogród oraz dziedziniec z kilku wielkimi drzewami o szeroko rozpostartych konarach, ocieniających oddzielną halę, „odpowiednią na koncerty i inne przedstawienia” – jak to sformułował Schomberg w swoich anonsach. Podarte, trzepoczące się afisze, umieszczone na ceglanych słupach z dwóch stron bramy, głosiły przysadzistemu czerwonymi literami: „Co wieczór koncert”.

Droga do hotelu była długa, słońce wściekle prażyło. Davidson, obcierając mokrą twarz i szyję, przystanął na tak zwanej przez Schomberga „piazza”. Kilkoro drzwi stało tam otworem, ale wszystkie zasłony były spuszczone. Nie było widać żywej duszy, nawet kelner Chińczyk się nie pokazał, tylko żelazne, malowane krzesła i stoły zapełniały werandę. Samotność, cień, ponure milczenie – i lekki, zdradliwy powiew, który przy płynął spod drzew i niespodzianie przyprawił o dreszcz topiącego się z gorąca Davidsona. Taki nieznaczny dreszczyk tropikalny, zwłaszcza w Sourabaji, oznacza często chorobę i szpital dla nieostrożnego białego.

Przezorny Davidson poszukał schronienia w najbliższym zacienionym pokoju. W sztucznym mroku, za płaszczyznami bilardów odzianych w pokrowce, biała postać dźwignęła się z dwóch krzeseł, na których leżała. O tej porze dnia, po skończonym lunchu, Schomberg odbywał zwykle sjęstę. Zbliżył się powoli do gościa, okazały, stateczny – w defensywie; wielka, jasna broda przykrywała jak pancerz męską jego pierś. Nie lubił Davidsona, który nie był nigdy jego stałym gościem. Nacisnął dzwonek, stojący na jednym ze stołów, obok których przechodził, i spytał wyniośle, jak przystało na oficera rezerwy:

– Czego pan sobie życzy?

Pocziwy Davidson, wciąż wycierając mokrą szyję, oświadczył z prostotą, że przyszedł zabrać Heysta, ponieważ tak się umówili.

– Nie ma go tutaj.

Na dzwonek zjawił się Chińczyk. Schomberg zwrócił się do niego z bardzo srogą miną.

– Obsłuż pana.

Ale Davidson odrzekł, że musi już iść. Nie może czekać na Heysta, prosi tylko, aby go zawiadomiono, że Sissie odjeżdża o północy.

– Mówię panu, że go tu nie ma.

Zafrasowany Davidson uderzył się po udzie.

– Ach Boże! pewno jest w szpitalu. – Przypuszczenie to było zupełnie naturalne w bardzo malarycznej miejscowości.

Porucznik rezerwy ściągnął tylko usta i podniósł brwi, nie patrząc na Davidsona. Mogło to być zrozumiane bardzo rozmaicie, ale Davidson odrzucił myśl o szpitalu. W każdym razie musiał odnaleźć Heysta przed północą.

– Czy mieszkał tutaj? – zapytał.

– Tak, mieszkał tutaj.

– A nie może mi pan powiedzieć, gdzie jest teraz? – ciągnął spokojnie Davidson. Zaczynał się niepokoić, bowiem przybrawszy samowwączo rolę opiekuna, zdążył się już do Heysta przywiązać. Odpowiedź brzmiała:

– Nie wiem. To nie moja rzecz – i Schomberg pokręcił majestatycznie głową, pozwalając się domyślać jakichś strasznych tajemnic.

Davidson był wcieloną łagodnością. Taką już miał naturę. Toteż nie zdradził się ze swymi uczuciami, które nie były dla Schomberga przyjazne.

– Dowiem się w kantorze u Tesmanów – pomyślał. Ale pora dnia była niezmiernie gorąca, a przy tym, jeśli Heyst znajdował się w porcie, wiedział pewno o przybyciu Sissie. Może nawet był już na pokładzie i rozkoszował się chłodem, którego niepodobna było znaleźć w mieście. Davidson, jako człowiek otyły, dbał zawsze o chłód i nie lubił się ruszać. Zatrzymał się chwilę, w niepewności co ma dalej robić. Schomberg stał przy drzwiach i patrzył w ogród, udając zupełną obojętność. Nie mógł jednak wytrzymać. Odwrócił się porywczo i spytał z nagłą wściekłością:

– Pan chciał się z nim widzieć?

– No tak – odrzekł Davidson. – Umówiliśmy się, że się spotkamy.

– Niech się pan o to nie kłopotuje. Już mu na tym nie zależy.

– Dlaczego mu nie zależy?

– Przecież pan sam widzi. Nie ma go tu, prawda? Daję panu na to słowo. Niech pan sobie nim głowy nie zawraca. Radzę to panu po przyjacielsku.

– Dziękuję panu – odrzekł Davidson, przestraszony w duchu dzikim tonem Schomberga. – Chyba siądę jednak na chwilę i napiję się czegoś.

Tego się Schomberg nie spodziewał. Zawołał brutalnie:

– Kelner!

Podszedł Chińczyk; hotelarz wskazał mu kiwnięciem głowy białego człowieka i wyszedł z pokoju, mruczając coś pod nosem. Davidson posłyszał, że Schomberg zgrzytał przy tym zębami.

Davidson siedział samotny w towarzystwie bilardów, jak gdyby w hotelu nie było żywej duszy. Jego spokój był tak głęboki, że nie czuł się zbyt zakłopotany nieobecnością Heysta, ani też tajemniczym zachowaniem Schomberga. Rozważał te sprawy po swojemu i wcale niegłupio. Coś się widocznie stało – nie miał jednak ochoty odejść i rozpocząć dochodzenia: wstrzymywało go przecucie, że właśnie tu na miejscu sytuacja się wyjaśni. Naprzeciw niego wisiał na ścianie afisz z napisem: „Co wieczór koncert”, taki sam, jak ogłoszenia wiszące na bramie, tylko lepiej zachowany. Patrzył nań leniwie, przy czym zwróciła jego uwagę okoliczność – nie zdarzająca się wówczas tak często – że była to damska kapela: „Wschodnie tournée Zangiacom: osiemnaście dam muzykantek”. Afisz stwierdzał, że kapela miała zaszczyt popisować się doborowym repertuarem przed różnymi kolonialnymi ekscelencjami, a także przed paszami, szejkami, jego wysokością sułtanem Maskatu itd.

Davidsonowi żal się zrobiło osiemnastu muzykantek. Wiedział, czym jest takie wędrowne życie, znał wstrętne okoliczności i brutalne zajścia, towarzyszące objazdom prowadzonym przez takich Zangiacomów, których zawód nie ma najczęściej nic wspólnego z muzyką. Gdy tak przypatrywał się afiszowi, otworzyły się drzwi za jego plecami i weszła kobieta, którą uważano – i bez wątplenia słusznie – za żonę Schomberga. Jak ktoś cynicznie zauważył, za mało była pociągająca, aby odgrywać inną rolę. Krążyły wieści, oparte na jej lęklwym wyrazie twarzy, że Schomberg haniebnie się z nią obchodzi. Davidson uchylił kapelusza na jej widok. Pani Schomberg skłoniła w odpowiedzi wyblakłą twarz i siadła natychmiast za podwyższonym kontuarem, mieszczącym się naprzeciw drzwi, na tle lustra i licznych rzędów butelek. Uczesana była nader wymyślnie, z dwoma lokami, zwieszającymi się z lewej strony wychudłej szyi, suknię zaś miała jedwabną; stawiała się właśnie do popołudniowego zajęcia. Schomberg wymagał tego z jakiejś przyczyny, chociaż obecność jej nie dodawała bynajmniej uroku sali restauracyjnej. Siedziała w dymie i hałasie, niby bóstwo na tronie, uśmiechając się niekiedy bezmyślnie znad bilardów. Nie odzywała się do nikogo i nikt też do niej nie mówił. Sam Schomberg nie zwracał na nią wcale uwagi, co najwyżej rzucał jej spode łba ponure spojrzenia, niczym zresztą nieusprawiedliwione. Nawet Chińczycy ignorowali ją najzupełniej.

Wejście pani Schomberg przerwało rozmyślenia Davidsona. Siedzieli teraz we dwoje; milczenie jej i nieruchomość przeszkadzały Davidsonowi. Kapitan bardzo był skłonny do współczucia. Uznał, że byłoby grubiaństwem nie zwracać na nią uwagi. Odezwał się więc, nawiązując rozmowę do afisza:

– Czy ci ludzie mieszkają tu u państwa?

Pani Schomberg była tak dalece nieprzyzwyczajona, aby się do niej zwracano, że na dźwięk jego głosu podskoczyła na krześle. Davidson opowiadał nam później, że podskoczyła zupełnie jak

figura wyciosana z drzewa, nie tracąc sztywnej nieruchomości. Nie poruszyła nawet oczami; ale odpowiedziała swobodnie, mimo że usta jej wyglądały jak rzeźbione w drzewie.

– Mieszkali tu przeszło miesiąc. Teraz już wyjechali. Grywali co wieczór.

– A ładnie grywali, co?

Nic na to nie odpowiedziała, a że ciągle patrzyła nieruchomo wprost przed siebie, milczenie jej zbiło z tropu Davidsona. Wyglądało to, jakby go wcale nie słyszała, co było niemożliwe. A może nie chciała sobie pozwolić na wypowiedzenie własnego zdania? Schomberg musiał ją wytresować w tym kierunku i w domowym pożyciu nie wyrwała się pewnie ze swymi sądami. Ale Davidson uważał, że honor jego wymaga podtrzymania rozmowy, rzekł więc, tłumacząc po swojemu zdumiewające milczenie gospodyni:

– Aha, rozumiem – nie było to nic szczególnego. Takie zespoły zwykle bywają liche. To pewno banda Włochów, proszę pani? sądząc po nazwisku kapelmistrza.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie. On jest naprawdę Niemcem, tylko farbuje sobie wąsy i brodę dla interesu. Przeważał się Zangiaco – także dla interesu.

– To ciekawe – rzekł Davidson. Miał głowę wciąż pełną Heysta i przyszło mu na myśl, że pani Schomberg wie może coś nieo czymś i o innych sprawach. To odkrycie było rzeczą zdumiewającą dla człowieka, który miał sposobność ją widywać. Nikt nie podejrzewał jej nigdy o zdolność myślenia i czucia, w najniższym choćby stopniu. Uważało się ją raczej za coś nijakiego; za manekin, albo bardzo pospolity automat, tak zbudowany, że umiał kiwać głową i uśmiechać się idiotycznie od czasu do czasu. Davidson patrzył na jej profil o spłaszczonym nosie, zapadłym policzku i nieruchomym, wylupiastym oku, utkwionym wprost przed siebie. Zadał sobie pytanie: „Czy to przed chwilą mówiło? czy przemówi jeszcze?” – Było to zagadnienie niezmiernie ciekawe, zupełnie jakby się usiłowało rozmawiać z jakąś maszyną. Uśmiech błędził po tłustej twarzy Davidsona – uśmiech człowieka, zajętego zabawnym doświadczeniem. Odezwał się znowu:

– Ale te muzykantki to prawdziwe Włoszki, co?

Nic go to oczywiście nie obchodziło. Chciał się tylko przekonać, czy mechanizm zareaguje na jego słowa – i tak się też stało. Usłyszał w odpowiedzi, że i kapela nie była rodem z Włoch. Zdaje się, że to taka sobie zbieranina. Automat zamilkł, a wylupiaste jego oko patrzyło nieruchomo przez całą długość pokoju ku otwartym drzwiom, wychodzącym na „piazza”. Po krótkiej chwili odezwał się znowu równie cichym głosem:

– Była tam nawet jedna angielska dziewczyna.

– Biedactwo – rzekł Davidson. – Wyobrażam sobie, że takie kobiety nie lepiej są traktowane od niewolnic. Czy ten drab z farbowaną brodą zachowywał się mniej więcej przyzwoicie?

Automat milczał. Współczująca dusza Davidsona wyprowadziła więc własny swój wniosek.

– Co za piekielne życie mają takie kobiety! – rzekł. – Proszę pani, pani mówi, że między nimi była i angielska dziewczyna; czy pani ma na myśli rzeczywiście młodą dziewczynę? Te muzykantki w damskich kapelach nie bywają pierwszej młodości.

– Dość była młoda – zabrzmiał cichy głos pani Schomberg, lecz twarz jej ani drgnęła.

Zachęcony tym Davidson oświadczył, że bardzo tej dziewczynie współczuje. Już to on w ogóle szafował hojnie współczuciem.

– Dokąd pojechali? – zapytał.

– Ona z nimi nie pojechała. Uciekła.

To była druga ciekawa wiadomość, którą Davidson usłyszał. Ożywiło to rozmowę na nowo.

– No, no! – zawołał spokojnie i zapytał z miną człowieka znającego życie:

– A z kim uciekła?

Pani Schomberg siedziała tak nieruchomo, że zdawała się czegoś pilnie nasłuchiwać. Może i nasłuchiwała rzeczywiście; ale Schomberg kończył pewnie drzemkę w jakiejś odległej części domu.

Głęboka cisza przeciągnęła się tak długo, że aż się straszno zrobiło. Wreszcie pani Schomberg szepnęła do Davidsona z wyżyn swojego tronu:

– Z tym pańskim przyjacielem.

– Ach tak, więc pani wie, że szukam tu przyjaciela – rzekł Davidson pełen nadziei. – Czy nie mogłaby mi pani powiedzieć...

– Już panu powiedziałam.

– Jak to?

Davidsonowi wydało się, że przed oczu usuwa mu się mgła, odsłaniając coś, w co nie mógł uwierzyć.

– To niemożliwe! – wykrzyknął. – Ten człowiek nie jest zdolny do czegoś podobnego. – Ale przy ostatnich słowach głos go zawiódł. Pani Schomberg ani drgnęła – Davidson, który pod wrażeniem nowiny porwał się był z krzesła, osłabł nagle.

– Heyst! ten wzór dżentelmena! – wykrzyknął słabym głosem.

Pani Schomberg zdawała się go nie słyszeć. Zdumiewający fakt porwania nie pasował jakoś do opinii, jaką sobie Davidson o Heystcie wyrobił. Heyst nie mówił nigdy o kobietach, zdawał się nigdy o nich nie myśleć, nie pamiętać nawet, że istnieją, a tu nagle coś podobnego! Uciec z pierwszą lepszą muzykantką z kapeli!

– Gdyby mnie wtedy ktoś palcem tknął, byłbym leżał na ziemi – opowiadał nam Davidson w jakiś czas później.

Zapatrywał się już wówczas pobłażliwie na obie strony biorące udział w zdumiewającej eskapadzie. Przede wszystkim wcale nie był pewien po namyśle, czy ten postępek uwłacza Heystowi jako ideałowi dżentelmena. Nasze drwiny i spokojne uśmiechy przyjmował z powagą na okrągłej twarzy. Heyst zabrał dziewczynę na Samburan; to wcale nie były żarty. Panująca tam pustka i szczątki walących się zabudowań zrobiły głębokie wrażenie na prostodusznym Davidsonie. Samburan nie harmonizował ze swawolnymi konceptami ludzi, którzy go nigdy nie widzieli. Czarny pomost, sterczący z dżungli i wstępujący w bezludne morze; szczyty dachów opuszczonych domostw, wyzierające ponuro z wysokiej trawy – brrr! Olbrzymia, żałobna tablica Podzwrotnikowej Spółki Węglowej, wyłaniała się wciąż jeszcze z dzikiej gęstwy zarośli, niby napis umieszczony nad grobem, za który mógł uchodzić stos niesprzedanego węgla, leżący u końca bulwaru; potęgowało to jeszcze wrażenie rozpaczliwego pustkowsia.

Tak mówił wrażliwy Davidson. Dziewczyna musi być rzeczywiście w strasznym położeniu, jeśli zdecydowała się towarzyszyć obcemu człowiekowi do takiego miejsca. Heyst z pewnością powiedział jej prawdę. To dżentelmen. Ale żadne słowa nie były w stanie opisać warunków życia na Samburanie. Określenie: bezludna wyspa nie dawało jeszcze o tym żadnego pojęcia. Przy tym, jeśli się jest wyrzuconym na bezludną wyspę, nie można nic na to poradzić; ale co za niedorzeczność spodziewać się po dziewczynie z wędrowniej damskiej kapeli, że pobyt na Samburanie sprawi jej przyjemność – choćby tylko przez jeden jedyny dzień. Należało raczej przypuszczać, że na sam widok wyspy krzyknie z przerażenia.

Zdolność do współczucia u ludzi spokojnych i otyłych jest wprost zdumiewająca. Davidson poruszony był do głębi i widać było od razu, że się tak Heystem przejmuje. Spytaliśmy go, czy nie przejeżdżał w tych czasach obok Samburana.

– O tak. Przejeżdżam zawsze tamtędy – o jakieś pół mili od brzegu.

– Nie widział pan tam kogo?

– Nikogo. Ani żywej duszy.

– A dawał pan sygnał gwizdawką?

– Ja? – gwizdawką? Myśli pan, że byłbym zdolny do czegoś podobnego?

Obruszył się na samą myśl takiego nieuprawnionego natręctwa. Zdziwiająco delikatny człowiek, ten Davidson.

– No dobrze, więc skąd pan wie, że oni tam są? – spytano go naturalnie.

Heyst powierzył pani Schomberg kartkę do Davidsona – kilka wierszy, skreślonych ołówkiem na skrawku zmiętego papieru. Pisał tam, że nieprzewidziane okoliczności zmusiły go do wyjazdu przed umówionym terminem i prosił Davidsona o pobłażliwość dla tej pozornej nieuprzejmości. Gospodyni domu – miał na myśli Schombergową – opowie Davidsonowi, co zaszło, choć, oczywiście, nie będzie mogła tego wytłumaczyć.

– Cóż tu jest do tłumaczenia? – spytał Davidson z powątpiewaniem. – Zawrócił sobie głowę tą skrzypaczką.

– A ona nim, jak się zdaje – poddałem.

– Piorunem się uwinęli – rozważał Davidson. – Jak pan myśli, co z tego wyniknie?

– Prawdopodobnie żal za grzechy. Ale jak się to stało, że wybrali sobie Schombergową na powiernicę?

I rzeczywiście – zdawałoby się, że figura z wosku może być użyteczniejszą od tej kobiety, którą przyzwyczailiśmy się wszyscy widzieć siedzącą na wzniesieniu ponad dwoma bilardami, bezmyślną, nieruchomą, niemą i zdającą się nic nie widzieć.

– Pomogła dziewczynie dać nura – rzekł Davidson, zwracając na mnie naiwne oczy, zaokrąglone od bezustannego zdumienia, w jakie wprawiła go ta sprawa – podobnie jak wstrząs przerażenia czy smutku wywołuje czasami drzenie nerwowe. Zdawało się, że nigdy się z tego nie otrząśnie.

– Siedziałem, niczego nie podejrzewając, gdy nagle Schombergowa rzuciła mi na kolana kartkę Heysta zwiniętą jak fidybus¹⁸ – ciągnął Davidson. – Ochłonawszy ze zdumienia, spytałem, co też ona, u Pana Boga, ma z tym wspólnego? Dlaczego właśnie jej to powierzył? Nie drgnęła nawet – zupełnie jak malowany obraz, a nie żywa kobieta – i wyszeptala tak cicho, że ledwie ją usłyszałem:

– „Pomogłam im. Pozbierałam jej rzeczy, zapakowałam w swój własny szal i przez tylne okno wyrzuciłam na dziedziniec. Ja to zrobiłam”.

– I to ta sama kobieta, która – zdawałoby się – nie ma odwagi ruszyć palcem – dziwił się Davidson spokojnym, trochę zasapanym głosem. – Co pan o tym myśli?

Myślałem, że musiała mieć w tym własny swój cel. Za mało było w niej życia, aby można ją było podejrzewać o poryw litości. Niepodobna nawet przypuszczać, aby Heyst mógł ją przekupić. Nie potrafiłby tego zrobić, choćby rozporządzał największymi środkami. A może uległa tej bezinteresownej namiętności, dążącej do pchnięcia kobiety w ramiona mężczyzny, namiętności, która w szanujących się sferach zwie się swataniem? Stanowiłoby to bardzo nieszablonowy przykład swatów!

– Zawiniątko było pewnie bardzo niewielkie – zauważył Davidson.

– Ta dziewczyna musiała mieć jakiś specjalny urok – rzekłem.

– Nie wiem. Była nieszczęśliwa. W zawiniątku znajdowało się pewnie tylko trochę bielizny i parę białych sukien, które muzykantki nosiły na estradzie.

Davidson rozmyślał w dalszym ciągu o tym wszystkim. Twierdził, że w historii zwrotników był to fakt niesłychany. Bo gdzieżby się znalazł człowiek, gotowy wykraść dziewczynę, grywającą w kapeli? Zdarzało się, naturalnie, że ktoś upodobał sobie jaką ładniejszą muzykantkę, ale nie po to, aby ją wykradać. Nic podobnego! Na to trzeba takiego wariata, jak Heyst.

– Proszę sobie wyobrazić, jakie to może mieć skutki – sapał Davidson, pełen bujnej imaginacji pod pozorami niewzruszonego spokoju. – Niech pan tylko spróbuje sobie wyobrazić! Samotne rozmyślanie na Samburanie pomieszały mu w głowie. Nie zastanowił się ani trochę, bo nie byłby tego zrobił. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach... Taka historia nie może przecież trwać długo. Co on z nią w końcu zrobi? To po prostu wariactwo.

– Pan mówi, że on ma bzika. Schomberg znów twierdzi, że Heyst umiera z głodu na swojej wyspie, więc może ją zje w końcu – poddałem.

¹⁸ *fidibus* – wiele razy złożony kawałek papieru, używany do zapalania fajki. [przypis edytorski]

Davidson opowiadał nam dalej, że Schombergowa nie miała czasu zapuszczać się w szczegóły. I rzeczywiście, należało się dziwić, że pozostawiono ich tak długo sam na sam. Mijały senne godziny popołudnia. Na werandzie – przepraszam! na piazzie – rozległy się kroki i głosy, przesuwanie krzeseł, dźwięk trąconego dzwonka. Schodzili się goście. Pani Schomberg, nie patrząc na Davidsona, zaczęła prosić nerwowym szeptem, aby o tej sprawie nic nikomu nie wspominał i nagle ucieła w pół słowa. W niewielkich drzwiach, prowadzących w głąb domu, ukazał się Schomberg z przyglądzonymi włosami i pięknie rozczesaną brodą – tylko powieki miał jeszcze ociężałe od drzemki. Spojrzał podejrzliwie na Davidsona i rzucił nawet wzrokiem na żonę, ale wrodzony spokój jednego i zwykła nieruchomość drugiej uspiły jego czujność.

– Czy kazałaś podać napoje? – zapytał cierpko.

Nie zdążyła jeszcze otworzyć ust, gdy z obładowaną tacą na głowie ukazał się główny kelner, zmierzając ku werandzie. Schomberg podszedł do drzwi i powitał gości, ale nie przyłączył się do nich. Pozostał w przejściu, zasłaniając je do połowy, zwrócony tyłem do pokoju, i stał tam jeszcze, gdy Davidson, posiedziawszy chwilę spokojnie, powstał aby odejść. Posłyszawszy szmer, Schomberg odwrócił głowę, zobaczył, że Davidson składa jego żonie ukłon, na który odpowiedziała drewnianym skinieniem głowy i bezmyślnym uśmiechem, po czym zwrócił się znów ku werandzie. Wyniosły był i pełen godności. Davidson przystanął we drzwiach, kryjąc chytry zamiar pod pozorną prostotą.

– Przykro mi, że pan nie chce mi nic powiedzieć o moim przyjacielu – rzekł. – Pan wie, o moim przyjacielu Heystcie. Zdaje się, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko poinformować się w porcie. Jestem pewien, że się tam czegoś dowiem.

– A dowiaduj się pan choćby u diabła! – odmruknął chrypliwie Schomberg.

Zagadując hotelarza, Davidson miał głównie na myśli odciążenie podejrzeń od pani Schomberg; ale byłby też chętnie usłyszał coś niecoś o czynie Heysta z odmiennego punktu widzenia. Ten przebiegły zamysł powiódł się, ale sprowadził skutek zgoła nieoczekiwany, albowiem punkt widzenia hotelarza okropnie był obelżywy. Ni stąd ni zowąd, tym samym ochryplym, ponurym tonem Schomberg jął sypać na Heysta wyzwiska, wśród których „świński pies” nie należało do najgorszych – i to z taką gwałtownością, że zatchnęło go po prostu. Korzystając z przerwy, Davidson, którego usposobienie umiało znieść jeszcze większe wstrząsy, zrobił mu półgłosem uwagę:

– To nierozsądnie tak się złościć. Nawet gdyby był uciekł z pańską kasą —

Hotelarz pochylił swoją wielką postać i zbliżył rozwścieczoną twarz do twarzy Davidsona.

– Z moją kasą! Z moją – on – słyszy pan, kapitanie Davidson? Uciekł z dziewczyną! Co mnie to może obchodzić? Ta dziewczyna jest dla mnie niczym.

Cisnął obelżywe słowo, na którego dźwięk Davidson się wzdrygnął. Oto czym jest ta dziewczyna! I powtórzył zapewnienie, że go to nic nie obchodzi. Co mu leży prawdziwie na sercu, to dobra reputacja jego domu. Wszędzie, gdzie tylko miał hotel, „artystyczne zespoły” zatrzymywały się u niego. Jedni polecali go drugim; a co będzie teraz, jeśli się rozgłosi, że dyrektorowie zespołów narażeni są w jego domu – w jego domu! – na utratę artystów? I to właśnie teraz, kiedy wydał siedemset trzydzieści cztery guldeny na budowę hali koncertowej w swojej posiadłości! Jak on śmiał pozwolić sobie na coś podobnego w szanującym hotelu? Co za zuchwałość, co za nieprzyzwoitość, co za bezczelność, co za niegodziwość! Ten włóczęga, oszust, kanalia, łotr, *Schweinehund*¹⁹!

Schwycił Davidsona za guzik, zatrzymując w przejściu, właśnie na linii kamiennego spojrzenia pani Schomberg. Davidson zerknął ukradkiem w jej stronę i rozmyślał, jaki uspakajający znak ma jej przesłać, ale wyglądała tak dalece na pozbawioną nie tylko wszelkich zmysłów, lecz prawie i życia, stercząc na swoim wzniesieniu, że uznał to za zbyt cenne. Uwolnił guzik spokojnie a stanowczo, po czym Schomberg – ze zduszonym przekleństwem na ustach znikł gdzieś w głębi, aby w samotności ukoić rozkołysane nerwy. Davidson wszedł na werandę. Siedzący tam goście zauważyli gwałtowne

¹⁹ *Schweinehund* (niem.) – bydlak. [przypis edytorski]

intermedium²⁰ we drzwiach. Davidson znał jednego z nich i kiwnął mu głową, przechodząc. Znajomy zawołał:

– Prawda, jaki on wściekły! I to tak ciągle od tamtego czasu.

Roześmiał się głośno, a jego towarzysze uśmiechali się, siedząc przy stoliku. Davidson zatrzymał się.

– Tak, rzeczywiście jest wściekły.

Davidson mówił nam, że odczuwał wtedy jakąś tępą rezygnację. Na zewnątrz, oczywiście, nie było to bardziej widoczne niż wzruszenie żółwia, który się cofnął w głąb skorupy.

– Nie widzę w tym sensu – mruknął w zamyśleniu.

– Przecież oni się pobili! – odrzekł znajomy Davidsona.

– Co takiego? Pobili się? Pobili się z Heystem? – Spytał niedowierzająco Davidson, srodze zaniepokojony.

– Z Heystem? Ależ nigdy w życiu! To tych dwóch się pobiło: kapelmistrz – indywidualizm obwożące te kobiety – i Schomberg. Signor Zangiaco miał atak ostrego szału od samego rana i napadł na naszego szanownego przyjaciela. Zaczęła się gonitwa po całym domu; drzwi trzaskały, kobiety wrzeszczały w jadalni – siedemnaście kobiet – wreszcie tarzali się po podłodze tu na tej werandzie. Chińczycy wleźli na drzewa – hej, John! Ty wyleź na drzewo, żeby widzieć bójka – co?

Niewzruszony Chińczyk o migdałowych oczach mruknął coś pogardliwie, skończył wycierać stół i odszedł.

– To była bójka co się zowie. Zangiaco zaczął. O, właśnie idzie Schomberg. Panie Schomberg, prawda – to on rzucił się na pana wtedy, gdy ta dziewczyna znikła? Ponieważ pan wymagałeś, żeby artystki chodziły między publicznością w czasie pauzy?

Schomberg zjawił się z powrotem we drzwiach. Podeszedł do nas z godnością, ale nozdrza mu latały i widać było, że z wysiłkiem panuje nad głosem.

– Naturalnie. To przecież należało do interesu. Mieszkali u mnie na szczególnie dogodnych warunkach – i wszystko to przez wzgląd na was, panowie. Chciałem rozrywki dla moich stałych gości. Wieczorami nie ma w mieście nic do roboty. Panowie byliście chyba wszyscy radzi, że możecie posłuchać dobrej muzyki – a cóż to złego, jeśli się poczęstuje artystkę szklanką grenadyny, czy czymkolwiek innym. Ale ten hultaj – ten Szwed – podszedł dziewczynę. Wszystkich tu tak samo podchodził. Przypatruję mu się od lat. Pamiętacie przecież, jak oplątał Morrisona?

Zrobił zwrot w tył jak na paradzie i odszedł. Goście przy stole zamienili spojrzenia. Davidson zachowywał się jak obojętny widz. Odgłos kroków Schomberga, chodzącego ponuro po bilardowym pokoju, słychać było aż na werandzie.

– A co najzabawniejsze – ciągnął mężczyzna, który zaczepił Davidsona, Anglik, służący w holenderskiej firmie – najzabawniejsze jest to, że tegoż samego dnia przed dziewiątą rano ci dwaj pojechali jednym wózkiem do portu na poszukiwanie Heysta i dziewczyny. Widziałem, jak biegali w porcie, wypytując wszystkich. Nie wiem, co byliby zrobili z dziewczyną, ale wyglądało mi na to, że gotowi są rzucić się na tego pańskiego Heysta i zabić go na środku bulwaru.

Mówił dalej, że nigdy w życiu nie widział nic równie zabawnego. Ci dwaj ludzie, dążący gorączkowo do jednego celu, spoglądali na siebie ze zdumiewającą wściekłością. Pożerani wzajemną nienawiścią i podejrzeniami, wsiedli do szalupy i jeździli po całym porcie od okrętu do okrętu, wywołując niebywałą sensację. Kapitanowie, którzy wysiedli później na ląd, opowiadali o dziwacznej wyprawie nieznanym i wypytawali, kim są ci dwaj antypatyczni wariaci, rozbijający się w szalupie za jakimś mężczyzną i jakąś kobietą i rozpowiadający historię, z której nic nie można było wyrozumieć. Przyjęcie, którego doznali w porcie, było na ogół nieprzychylnie, a oficer jakiegoś amerykańskiego statku wyprawił ich nawet za burtę z niepolitycznym pośpiechem.

²⁰ *intermedium* (z łac.) – tu: przerwa (dosł.: utwór teatralny grany między aktami sztuki). [przypis edytorski]

Tymczasem Heyst z dziewczyną byli już o dobrych kilka mil od brzegu. Odплыli w nocy na pokładzie szkunera z flotylli Tesmanów, udającego się na wschód. Dowiedziano się o tym później od jawajskich wiosłarzy, najętych przez Heysta o trzeciej rano. Szkuner Tesmanów odbił od brzegu o brzasku z lądowym wiatrem porannym i prawdopodobnie można go było jeszcze dostrzec na pełnym morzu. Jednakże dwaj mężczyźni przerwali pogoń po doświadczeniu z amerykańskim oficerem i skierowali się ku brzegowi. Wsiadając, wszczęli znów gwałtowną kłótnię po niemiecku, ale do drugiej bójkii nie doszło. Wreszcie, odwróciwszy się od siebie ze wściekłą nienawiścią, wsiedli do jednego wózka, najwidoczniej w celu zaoszczędzenia niepotrzebnego wydatku – i odjechali, zostawiając na bulwarze zdziwioną gromadkę Europejczyków i krajowców.

Wysłuchawszy tej cudacznej historii, Davidson opuścił hotelową werandę, która zapełniała się już stałymi gośćmi Schomberga. Eskapada Heysta stanowiła główny temat rozmów. Davidson twierdził, że nigdy przedtem ten niepojęty osobnik nie był przedmiotem tylu plotek. Nigdy! Nawet po założeniu Podzwrotnikowej Spółki Węglowej, kiedy stał się niejako publicznym człowiekiem i był przedmiotem głupich krytyk i tępej zazdrości każdego włóczęgi i awanturnika na wyspach. Davidson doszedł do wniosku, że ludzie najbardziej lubią rozpamiętywać skandale tego właśnie rodzaju.

Spytałem, czy uważa to ostatecznie za taki wielki skandal.

– Ależ broń Boże! – odrzekł ten zacny człowiek, który był absolutnie niezdolny do popełnienia jakiegokolwiek niewłaściwego kroku. – Jednak sam nie byłbym tego zrobił – to znaczy nawet gdybym nie był żonaty.

To oświadczenie nie zawierało bynajmniej potępienia, raczej coś na kształt żalu. Davidson podzielał mój domysł, że źródłem postępkii Heysta była chęć ocalenia nieszczęśliwej istoty. To przypuszczenie nie dowodziło jednak, iż jesteśmy obaj romantykami, sądzącymi świat według własnego usposobienia; mieliśmy po prostu dość przenikliwości, aby odkryć już dawno, że Heyst jest romantykem.

– Zabrakłoby mi odwagi – ciągnął dalej. – Widzę każdą rzecz niejako ze wszystkich stron, a Heyst tego nie potrafi: gdyby patrzył jasno, zląkłby się różnych możliwości. Nie można zabrać kobiety w bezludną dżunglę, nie narażając się na to, że prędzej czy później będzie się tego żałowało z tej czy owej przyczyny; a to, że Heyst jest dżentelmenem, pogarsza jeszcze sprawę.

VI

Tym razem nie mówiliśmy już więcej o Heystcie i tak się złożyło, że nie spotkałem się z Davidsonem przez jakieś trzy miesiące. Gdyśmy się znów zobaczyli, rzekł do mnie zaraz po przywitaniu:

– Widziałem go.

Zanim zdążyłem wykrzyknąć, zapewnił mnie, że nie narzucił się Heystowi, że nie postąpił jak natręt. Został wezwany. Gdyby nie to, nigdy by mu się nie śniło wdziierać się w zacisze Heysta.

– Jestem przekonany, że pan by tego nie zrobił – odrzekłem, nie zdradzając, jak dalece mnie bawi jego zdumiewająca delikatność. Był to najdelikatniejszy ze wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek dowodzili małymi parowcami, krążącymi naokoło tych wysp. Zaś jego dobroć – niemniej wybitna i godna uznania – sprawiała, że przejeżdżał wzdłuż wybrzeża Samburanu (mniej więcej w półmilowej odległości) regularnie co dwadzieścia trzy dni. Davidson był delikatny, humanitarny i punktualny.

– Więc Heyst wezwał pana? – spytałem z zaciekawieniem.

Tak, Heyst dał mu znak, gdy parowiec mijał o zwykłym czasie Samburan. Davidson oglądał właśnie brzeg przez lunetę ze zwykłą dobrocią, niezmordowaną i punktualną.

– Dostrzegłem na wybrzeżu człowieka w białym ubraniu. To mógł być tylko Heyst. Przymocował coś w rodzaju olbrzymiej flagi do bambusowego kija i powiewał tym, stojąc u końca starego bulwaru.

Davidson nie lubił przepływać za blisko Samburanu – prawdopodobnie bał się Heystowi narzucać; podjechał jednak tuż do brzegu, zatrzymał maszyny i kazał spuścić łódź. Wsiadł do tej łodzi, oczywiście razem z załogą, złożoną z malajskich majtków.

Heyst, zobaczywszy łódź, zmierzającą ku brzegowi, opuścił tykę z sygnałem i Davidson zastał go klęczącego i zajętego odwiązywaniem tkaniny od kija.

– Czy stało się coś złego? – zagadnąłem, gdyż Davidson przerwał na chwilę opowiadanie, a łatwo zrozumieć, z jaką ciekawością go słuchałem. Trzeba pamiętać, że Heyst, taki jakim go znano na archipelagu, nie był – jakby to powiedzieć – człowiekiem lubiącym posługiwać się sygnałami.

– Te same słowa wybiegły z moich ust – rzekł Davidson – zanim jeszcze łódka otarła się o pale. Nie mogłem się powstrzymać.

Heyst powstał z kolan i jał starannie składać flagę, przy czym zwróciło uwagę Davidsona, że owa flaga przypominała rozmiarami kołdrę.

– Nie, nic złego – odkrzyknął. Białe jego zęby zabłysły przyjemnie pod miedzianą, poziomą linią długich wąsów.

Nie wiem, co wstrzymało Davidsona od wdrapania się na bulwar: delikatność czy tusza. Stał w łódce, a nad nim pochylił się Heyst i z uprzejmym uśmiechem dziękował mu, przepraszając za śmiałość. Był zupełnie taki sam jak zawsze. Davidson spodziewał się, że znajdzie w nim jakąś zmianę; nie było żadnej. W jego zachowaniu nic nie zdradzało faktu, że wewnątrz tej dżungli kryje się dziewczyna, muzykantka z damskiej orkiestry, którą porwał i uwięził w puszcę prosto z estrady koncertowej. Nie był ani zawstydzony, ani nieufny, ani zmieszany. Może jego obejście stało się o cień poufalsze. A słowa jego brzmiały zagadkowo.

– Zdecydowałem się dać panu ten sygnał – rzekł do Davidsona – ponieważ zachowanie pozorów może się stać kwestią największej wagi. Naturalnie nie chodzi tu o mnie. Nie dbam ani trochę, co ludzie o mnie powiedzą, i nikt mnie nie może urazić. Zdaje mi się jednak, że przyczyniłem się do pewnej ilości zła, odkąd dałem się skusić czynnemu życiu. Mój postępek wydał mi się zupełnie niewinnym, ale każdy czyn musi sprowadzić złe skutki. Ma w sobie coś diabelskiego. I dlatego cały ten świat jest zły na ogół. Ale skończyłem z tym wszystkim. Nigdy już palcem nie ruszę. Myślałem dawniej, że inteligentna obserwacja faktów jest najlepszym sposobem oszukiwania czasu, który nam wydzielono, nie zapytując wcale, czy sobie tego życzymy; ale teraz skończyłem i z obserwacją.

Wyobraźmy sobie biednego, prostodusznego Davidsona, wysłuchującego podobnej przemowy w łódce przed opuszczonym, zbutwiałym pomostem, wystającym z podzwrotnikowego gąszczu. Nie słyszał nigdy, by ktokolwiek mówił podobne rzeczy – a cóż dopiero Heyst, którego słowa były zawsze związane i uprzejme, zabarwione z lekka żartobliwością, przebijającą skroś wykwintny ton jego głosu.

– Zwariował – pomyślał Davidson.

Ale, spojrzawszy w pochyloną nad nim twarz, musiał odrzucić przypuszczenie zwykłego obłąkania. Te słowa były doprawdy nadzwyczajne. Nagle przypomniał sobie – w zdumieniu wyszło mu to z pamięci – że Heyst ma tę dziewczynę na wyspie. Dziwaczna jego przemowa miała prawdopodobnie związek z dziewczyną. Davidson otrząsnął się z osłupienia i, nie wiedząc, co ma właściwie powiedzieć, spytał, chcąc zaznaczyć swoją życzliwość:

– Może zabrakło panu zapasów, czy też czego innego?

Heyst uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie, nie. Nic podobnego. Nic nam nie potrzeba. Ale w każdym razie dziękuję panu. Jeśli pozwoliłem sobie pana zatrzymać, to nie ze względu na jakieś braki, moje czy też mojej towarzyszki. Osoba, z której powodu postanowiłem uciec się do pańskiej pomocy, to Schombergowa.

– Mówiłem z nią – wtrącił Davidson.

– Ach tak! Mówił pan? Spodziewałem się, że znajdzie sposobność, aby...

– Ale niewiele mi powiedziała – przerwał Davidson, który nie był od tego, aby coś nowego usłyszeć, choć nie bardzo wiedział, o co mu właściwie chodzi.

– Hm – tak. Ale dostał pan moją kartkę – co? Znalazła sposób, żeby ją panu oddać? To dobrze, bardzo dobrze. Ona jest sprytniejsza, niżby się zdawało.

– Często tak bywa z kobietami – zauważył Davidson. Obcość, którą odczuwał w stosunku do Heysta wskutek uprowadzenia przez niego dziewczyny, ustępowała z każdą chwilą. – Kobiety sprawiają wiele niespodzianek – dodał, mając na myśli pewien cel dydaktyczny, którego jednak nie osiągnął, albowiem Heyst rzekł zaraz:

– To jest szal Schombergowej. – Dotknął tkaniny, wiszącej na jego ramieniu. – Zdaje się, że indyjska materia – dodał, spoglądając na nią bokiem.

– Niewiele to warte – rzekł szczerze Davidson.

– Bardzo być może. Idzie mi o to, że szal należał do żony Schomberga. Zdaje się, że ten Schomberg to skończony łotr – czy pan tego nie uważa?

Davidson uśmiechnął się słabo.

– Wszyscyśmy się tu do niego przyzwyczaili – rzekł, niby tłumacząc ogólną a szkodliwą pobłażliwość względem jawnego zła. – Nie mógłbym tego o nim powiedzieć. Znam go tylko jako hotelarza.

– Nawet i z tej strony wcale go nie znałem – aż do czasu, kiedy pan był tak uprzejmy i zabrał mnie do Sourabayi. Przez oszczędność zatrzymałem się wtedy w jego hotelu. Netherlands House jest bardzo kosztowny, a przy tym wymagają tam od gościa, aby przywoził własnego służącego. To bardzo niewygodne.

– Ależ naturalnie – pośpieszył zapewnić Davidson.

Po krótkim milczeniu Heyst podjął znów rozmowę o szalu. Otóż chciał go odesłać z powrotem Schombergowej, która mogłaby się znaleźć w przykrym położeniu, gdyby wypadło jej na żądanie męża ten szal pokazać. Ta możliwość mocno Heysta niepokoiła. Schombergowa drży przed mężem. I prawdopodobnie nie bez powodu.

Davidson także to zauważył. Nie przeszkodziło jej to jednak wystrychnąć męża na dudka, aby przysłużyć się obcemu człowiekowi.

– Ach, więc pan wie o tym – rzekł Heyst. – No tak, pomogła mi – to znaczy nam.

– Mówiła mi to właśnie. Miałem z nią formalną rozmowę – informował Davidson Heysta. – Niechże pan sobie wyobrazi rozmowę z Schombergową! Gdybym to opowiedział naszym chłopcom, nie chcieliby mi wierzyć. Jakże pan ją ugłaskał? Co pan o tym wszystkim myśli? Przecież ona wydaje się za głupia, aby zrozumieć, co się do niej mówi i za lekliwa żeby odpędzić kurczę. Ach te kobiety! Nie wiadomo, co siedzi nawet i w najspokojniejszej.

– Schombergowa broniła swego życiowego stanowiska – odrzekł Heyst. – Cel zupełnie godny szacunku.

– Więc to tak! Domyślałem się, że tak być musiało – wyznał Davidson i opowiedział Heystowi szczegóły gwałtownych zająć, które nastąpiły po odkryciu jego ucieczki. Heyst słuchał z uprzejmą uwagą i zasepił się nieco, ale nie okazał zdziwienia i nic na to nie odpowiedział. Gdy Davidson skończył, Heyst podał mu szal; kapitan obiecał, że postara się wręczyć go potajemnie Schombergowej. Heyst podziękował w kilku prostych słowach nacechowanych wykwintną kurtuazją.

Davidson zabierał się już do odjazdu. Nie patrzyli na siebie. Nagle Heyst odezwał się:

– Widzi pan, chodziło tu o wstrętne prześladowanie – czy pan rozumie? Dowiedziałem się o tym i...

Był to punkt widzenia, który współczujący Davidson umiał należycie ocenić.

– Wcale mnie to nie dziwi – rzekł spokojnie. – Rozumiem, jakie to było wstrętne. A pan, jako kawaler, miał rozwiązane ręce. Więc to tak!

Siadł u steru i trzymał już liny sterownicze, gdy Heyst nagle zauważył:

– Świat jest podobny do złego psa. Ugryzie, jeśli się zdarzy sposobność; ale mam wrażenie, że tu, na tej wyspie, możemy najspokojniej rzucić losowi wyzwanie.

Opowiedziawszy mi to wszystko, Davidson dodał jako jedyny komentarz:

– Dziwny sposób wyzywania losu – wziąć sobie na kark kobietę!

VII

W dość długi czas potem – bo nie spotykaliśmy się bardzo często – spytałem Davidsona, jak sobie poradził z szalem. Opowiedział mi, że wywiązał się z polecenia w bardzo prosty sposób i że przyszło mu to dość łatwo. Za najbliższą bytnością w Samarangu zwinął szal tak ciasno, jak się tylko dało, zapakował w brązowy papier i zabrał na ląd. Załatwiwszy swoje sprawy w mieście, wsiadł z paczuszką do wózka i pojechał do hotelu. Stosownie do nabytego doświadczenia wybrał godzinę, gdy Schomberg oddawał się drzemce. Pusto było wszędzie, jak i poprzednim razem. Davidson poszedł wprost do bilardowego pokoju, siadł w głębi obok podium, gdzie powinna była ukazać się pani Schomberg, i zmaścił senną ciszę domu, trąciwszy silnie dzwonek. Natychmiast zjawił się Chińczyk. Davidson kazał sobie podać coś do wypicia i czekał cierpliwie.

– Byłbym zamówił i dwadzieścia szklanek jedną po drugiej – opowiadał, a trzeba wiedzieć, że Davidson jest bardzo wstrzeźliwy, żeby tylko nie brać tej paczki z powrotem. Niepodobna było zostawić to gdzieś w kącie, bez uprzedzenia właścicielki. Mogłoby stąd wyniknąć dla niej coś jeszcze gorszego, niż gdybym szala wcale nie odwoził.

Więc czekał, dzwoniąc raz po raz i popijając jedną za drugą dwie czy trzy szklanki mrożonych napojów, na które nie miał żadnej ochoty. Niebawem, jak się spodziewał, weszła pani Schomberg: jedwabna suknia, długa szyja, loki, wylekłe oczy i głupi uśmiech – wszystko w komplecie. Widocznie tamta leniwa bestia wysłała ją na salę, aby się dowiedzieć kto jest owym spragnionym gościem, budzącym echa domu o tej spokojnej godzinie. Ukłon, kiwnięcie głową – i wdrapała się na zwykłe stanowisko za wysokim kontuarem. Wyglądała tak bezradnie i bezmyślnie na swym wzniesieniu, że, gdyby nie paczka – mówił Davidson – byłby uważał za sen wszystko, co między nimi zaszło.

Zamówił znów coś do wypicia, aby pozbyć się z pokoju Chińczyka, chwycił paczkę, leżącą obok niego na krześle i mruknąwszy tylko: „To pani własność”, wsunął ją prędko pod kontuar u jej nóg. Odetchnął z ulgą. Reszta należała do niej. A był już czas najwyższy. Ledwo Davidson zdążył usiąść z powrotem, zjawił się Schomberg. Udawał, że ziewa, rzucając w koło podejrzliwe i gniewne spojrzenia. Niewzruszony spokój rozlany zawsze na twarzy Davidsona przydał mu się niezmiernie w owej chwili, choć Schomberg nie miał oczywiście najmniejszych podstaw do podejrzenia żony i gościa o jakiegokolwiek konszachty.

Co do pani Schomberg, siedziała nieruchomo niczym chiński bożek. Zachwyt ogarnął Davidsona. Wierzył już teraz, że ta kobieta potrafi udawać przez lata. Nawet nie drgnęła. To wprost niesłychane! Poznanie jej charakteru prawie go przeraziło; nie mógł się uspokoić wobec zdumiewającego faktu, że oto zna lepiej prawdziwą panią Schomberg niż ktokolwiek inny na wyspach, nie wyłączając samego Schomberga. Co za mistrzostwo obłudy! Nic dziwnego, że Heyst sprzątnął dziewczynę sprzed nosa dwu mężczyznom, jeśli miał taką współpracowniczkę.

Ale najdziwniejszym ze wszystkiego było, że Heyst miał coś w ogóle ze spódnicami do czynienia. Patrzyliśmy na niego długie lata i wiedzieliśmy, że kobiety były zupełnie wyłączone z jego życia. Wyjąwszy to, że fundował ludziom przy odpowiednich okazjach, jak każdy przeciętny śmiertelnik, ten obserwator faktów zdawał się nie mieć nic wspólnego z ziemskimi sprawami i namiętnościami. Wytworność obejścia i pewna żartobliwość w głosie odróżniały go od innych ludzi. Robił wrażenie piórka, unoszącego się lekko w codziennej atmosferze, którą wdychały nasze nozdrza. I właśnie dlatego zetknięcie się tego widza z realnym życiem przyciągało ogólną uwagę. Najpierw tajemnicza spółka z Morrisonem; potem wielka sensacja z węglem tropikalnym, najzupełniej realne przedsiębiorstwo, z którym były związane różne interesy. A wreszcie to porwanie – jaskrawy dowód ziemskości Heysta – największy ze wszystkich dziwów, zdumiewający i śmieszny zarazem.

Davidson przyznał mi rację, że wrzawa wywołana skandalem już przycichła i cała historia byłaby pewnie poszła w zapomnienie, gdyby ten osioł Schomberg wciąż publicznie zębami nie

zgrzytał. Jakież to było przykre, że Davidson nie mógł dać żadnych informacji o dziewczynie. Czy ładna? Nie wiedział. Pozostał przez całe popołudnie w hotelu, głównie aby się czegoś o niej dowiedzieć. Ale cała historia już spowszedniała. Towarzystwa zasiadające przy stolikach na werandzie omawiały inne, świeższe wypadki, a Davidson nie miał bynajmniej ochoty wręcz się wypytywać. Siedział więc spokojnie, zadowolony że nikt nie zwracał na niego uwagi, i nie tracił nadziei, iż usłyszy przypadkiem coś interesującego. Nie ręczyłbym wcale, czy się poczwierca nie zdrzemnął przy tej sposobności. Trudno jest zaiste dać dokładne pojęcie o niewzruszonym spokoju Davidsona.

Wkrótce Schomberg, pokręciwszy się tu i ówdzie, przyłączył się do towarzystwa, które siedziało tuż przy stoliku obok Davidsona.

– Proszę panów, taki człowiek jak ten Szwed zagraża po prostu publicznemu bezpieczeństwu – zaczął. – Pamiętam go od lat. Nie będę opowiadał o jego przespiewkach – mówił sam, że szuka niezwykłych faktów – a cóż to innego niż szpiegostwo? Podpatrywał wszystkie interesy... Przyczepił się do kapitana Morrisona, wycisnął go jak pomarańczę i wyszczał stąd do Europy, gdzie też biedak umarł. Każdy wie, że kapitan Morrison miał słabe płuca. Ten łotr najpierw go obdarł, a potem zamordował! Ja tam w słowach nie przebieram, to nie mój zwyczaj. Potem znów wymyślił ten szwindel z Podzwrotnikową Spółką Węglową. O tym już wszystko dobrze wiecie. A teraz, wypchawszy sobie kieszenie cudzymi pieniędzmi, porywa białą dziewczynę z orkiestry popisującej się u mnie dla przyjemności tych, którzy raczą popierać mój zakład, i wynosi się, żeby żyć jak księżę na tej wyspie, gdzie nikt go nie może osiągnąć. Co za idiotka z tej dziewczyny... Tfu, jakie to wstrętne.

Splunął. Dusił się z wściekłości, bo najwidoczniej prześladowały go jakieś wizje. Zerwał się z krzesła i odszedł – może aby uciec przed nimi. Wszedł do pokoju, gdzie siedziała pani Schomberg. Widok jej nie mógł wpłynąć zbyt kojąco na ten właśnie rodzaj męki, który przeżywał.

Davidson nie czuł się powołanym do obrony Heysta. Wdawał się w rozmowę z tym lub owym niby to przypadkiem i nie dawał poznać po sobie, że wie coś o tej sprawie, chcąc wyciągnąć jakieś wiadomości o dziewczynie. Czy jest w niej coś niezwykłego? Czy ładna? Nie musi być wybitnie ładna, bo nie zwróciła na siebie szczególnej uwagi. Że młoda – wszyscy się z tym zgadzali. Angielski urzędnik od Tesmanów pamiętał, że miała bardzo bladą cerę. Ten urzędnik był bardzo szanownym i przyzwoitym człowiekiem. Nie zadawał się z kobietami tego rodzaju. Większość muzykantek były to okazy godne pożalowania. Schomberg umieścił je w tak zwanym pawilonie, gdzie pracowały ciężko, naprawiając i piorąc swoje białe suknie; widziano nieraz, jak rozwieszały je na drzewach, niby gromada praczek. Na estradzie wyglądały też zupełnie jak praczki w średnim wieku. Dziewczyna zaś mieszkała w głównym domu razem z dyrektorem czy też kapelmistrzem – tym drabem o czarnej brodzie – i z podstarzałą kobietą o zniszczonej twarzy, która grywała na fortepianie i uchodziła za żonę dyrektora.

Rezultat badań nie wypadł zadowalająco. Davidson ociągał się z odejściem i nawet jadł obiad przy ogólnym stole, ale nie zdobył już żadnych wiadomości. Wreszcie zrezygnował.

– Przypuszczam – sapnął spokojnie – że przecież ją kiedyś zobaczę.

Zamierzał oczywiście, jak dotychczas, przejeżdżać zawsze obok Samburanu.

– Naturalnie – odrzekłem. – Na pewno ją pan zobaczy. Wcześniej czy później Heyst znów pana zawezwie; tylko ciekaw jestem, z jakiego to będzie powodu.

Davidson nic nie odpowiedział. Miał na to swój własny pogląd i za jego milczeniem kryło się wiele myśli. Nie rozmawialiśmy już o dziewczynie. Zanim rozeszliśmy się, podzielił się jeszcze ze mną pewnym spostrzeżeniem nie mającym nic wspólnego z poprzednią rozmową.

– To dziwne – rzekł – ale zdaje mi się, wieczorami odbywa się po kryjomu szulerka u Schomberga. Zauważyłem ludzi – po dwóch, po trzech, kierujących się w stronę tej hali, gdzie zwykle grywała orkiestra. Okna hali mają widać bardzo szczelne zasłony, bo nie mogłem się tam dopatrzeć najmniejszego promyka światła; ale niepodobna przecież uwierzyć, że te draby schodzą się tylko po to, aby siedzieć w ciemnościach i rozpamiętywać swoje łajdactwa.

– Dziwne. To nie do wiary, aby Schomberg ważył się na coś podobnego – odrzekłem.

Część II

I

Jak już wiemy, Heyst zatrzymał się u Schomberga, nie mając pojęcia, że jego osoba jest przedmiotem wstrętu czcigodnego gospodarza. W chwili, gdy tam zamieszkał, damska kapela Zangiacoма przebywała w hotelu już od jakiegoś czasu. Interesy, które wyrwały Heysta z samotni – z zapadłego kąta wschodnich mórz – związane były z Tesmanami i dotyczyły jakichś spraw pieniężnych. Załatwił je szybko i siedział beczynn timer, czekając na Davidsona, który miał zabrać go z powrotem do pustelni; zamiarem bowiem Heysta było tam powrócić. Ten, którego przywykliśmy nazywać „zaczarowanym Heystem”, uległ zasadniczemu rozczarowaniu. Ale nie w stosunku do wysp. Czar archipelagu jest nieprzeparty; niełatwo otrząsnąć się z uroku wyspiarskiego życia. Heyst rozczarował się w ogóle do świata. Wzgardliwa jego dusza dała się uwieść czynowi, a teraz cierpiała nad przegraną w sposób niezmiernie subtelny, nieznan y człowiekowi przyzwyczajonemu do walki z realnymi trudnościami zwykłych ludzkich przedsięwzięć. Dręczył go żrący ból, jak gdyby popełnił bezużyteczne odszczepieństwo; odczuwał coś na kształt wstydu przed własnym ja, zdradzonym przez siebie samego; a w dodatku męczyły go jeszcze po prostu zwykle wyrzuty sumienia. Uważał się za winnego śmierci Morrisona. Uczucie dość nedorzeczne, bo przecież nikt nie był w stanie przewidzieć, jakie zimne i wilgotne lato czyha w Anglii na biednego Morrisona.

Heyst nie odznaczał się bynajmniej ponurym usposobieniem, ale w tych okolicznościach nie pragnął wcale towarzystwa. Spędzał wieczory siedząc na werandzie, w pewnym oddaleniu od reszty gości. Z budynku stojącego w głębi ogrodu dochodziło zawodzenie smyczkowych instrumentów; po obu stronach prowadzącej tam drogi wisiały japońskie papierowe latarnie, rozwieszone na sznurkach między pniami kilku wielkich drzew. Strzępy melodii mniej lub więcej żalonych uderzały o uszy Heysta. Ścięgały go nawet w jego pokoju, który znajdował się na piętrze i wychodził na werandę. Owe urywane i zgrzytliwe dźwięki stawały się po jakimś czasie nie do zniesienia. Podobnie jak większość marzycieli, którym harmonia niebiańskich sfer czasem się objawia, Heyst, wędrown y mieszkaniec archipelagu, rozmiłowany był w ciszy i mógł się nią latami napawać. Te wyspy są bardzo spokojne. Widać jak objęte srebrną i lazurową ciszą leżą w ciemnych szatach z listowia na bezszumnym morzu, które zlewa się z niebem w zaklęty krąg spokoju. Uśmiechnięta, senna zaduma unosi się nad nimi; nawet głosy mieszkających tam ludzi ciche są i stłumione, jakby lękały się spłoszyć jakiś czar opiekuńczy.

Może ten sam czar właśnie urzekł przed laty Heysta? Ale teraz już to minęło. Czar prysnął, chociaż wyspy wciąż jeszcze Heysta więziły. I nigdy nie zamierzał ich opuścić. Dokąd się udać po wszystkich tych latach? Na całym świecie nie miał bliskiej sobie istoty. Z tego faktu, który nie był wcale taki błahy, dopiero teraz zdał sobie sprawę, bo człowiek wnika w siebie i robi przegląd swych sił dopiero w obliczu klęski. I choć Heyst postanowił rzucić świat na wzór pustelnika, teraz, w chwili wyrzeczenia się, wbrew wszelkiej logice odczuł swoją samotność. Zabolalo go to. Nie ma nic bardziej dojmującego od starcia się ostrych przeciwieństw, szarpiących umysł i serce.

Tymczasem Schomberg śledził Heysta spod oka. Jak przystało na oficera rezerwy, zachowywał się ze sztywną godnością wobec nieświadomego obiektu swoich wrogich uczuć. Tracał przy tym łokciem niektórych gości, zwracając ich uwagę na tony, jakie „ten Szwed” przybiera.

– Nie mam pojęcia, dlaczego się u mnie zatrzymał. Mój hotel nie jest godny takiego gościa. Przecież tu dla niego za skromnie. Dałbym nie wiem co za to, żeby się tylko wyniósł i popisywał gdzie indziej swoją wyższością. Urządziłem te koncerty, żeby trochę panów rozweselić; a myślicie panowie, że raczył choć raz pokazać się na sali i posłuchać jednego czy dwu kawałków? Nic podobnego! Znam go nie od dzisiaj. Siedzi tam cały wieczór w ciemnym końcu piazz y – na pewno knuje jakieś nowe

oszustwo. Zaraz bym mu powiedział, żeby się wyniósł i poszukał sobie miejsca gdzie indziej, tylko że nieprzyjemnie traktować tak pod zwrotnikami białego człowieka. Nie wiem, jak długo ma zamiar tu siedzieć, ale założyłbym się, że nigdy się nie zdobędzie na kupienie biletu za pięćdziesiąt centów, by usłyszeć trochę dobrej muzyki.

Nikt nie miał ochoty się zakładać, inaczej Schomberg byłby przegrał. Któregoś wieczoru Heyst został doprowadzony do ostateczności przez skrzekliwe, piskliwe, drapiące urywki melodyj, które prześladowały go nawet w twardym łóżku – na materacu cienkim jak naleśnik, pod przejrzystą zasłoną od moskitów. Zeszedł na dół i znalazł się wśród drzew, gdzie łagodny żar japońskich latarni oświetlał gdzieniegdzie w ciemnościach płaty wielkich, chropawych pni, tonących w mroku pod wyniosłymi konarami. Inne latarnie w kształcie cylindrycznych „concertino” wisiały gęściejszym rzędem na luźnym sznurze, ozdabiając wejście do budynku, zwanego pompatycznie przez Schomberga „halą koncertową”. Zgnębiony do ostateczności Heyst wszedł po trzech schodach, podniósł perkalową zasłonę i znalazł się na sali.

Ogłuszający hałas panował w tym niewielkim budynku, podobnym do stodoły zbudowanej w pewnej wysokości nad ziemią ze sprowadzonych desek sosnowych. Hałas ten sprawiała orkiestra, piszcząc, mrużąc, skomląc, łkając, skrzecząc i kwicząc jakąś rześką melodię, podczas gdy wielkie pianino, nad którym znęcała się koścista niewiasta o czerwonej twarzy i złośliwie wykrojonych nozdrzach, bryzgało twardymi jak grad dźwiękami sypiącymi się przez burzę zawodzących smyczków. Niewielką estradę zapełniały białe muslinowe suknie i purpurowe szarfy, spływające ukośnie z bark; nagie ramiona rzępoliły bez wytchnienia. Orkiestrą dyrygował Zangiaco. Miał na sobie białą kurtkę, czarną, wyciętą kamizelkę i białe spodnie. Jego przydługa, rozczochrana czupryna i okazała broda mieniły się fioletowo-czarną barwą. Robił ohydne wrażenie. Gorąco panowało straszliwe. Ze trzydzieści osób siedziało przy małych stolikach, popijając różne trunki. Heyst, wprost przygnieciony ogromem hałasu, osunął się na krzesło. W szybkim rytmie muzyki, w różnorodnym, przenikliwym zgiefku strun, w ruchach nagich ramion, w wyciętych sukniach, prostackich twarzach i kamiennym wzroku muzykantek była jakaś brutalna podnieta, coś okrutnego, zmysłowego i odrażającego.

– To jest okropne! – mruknął Heyst pod nosem.

Ale w takim rytmicznym hałasie tkwi jakiś niesamowity urok. Heyst nie uciekł natychmiast, jak się tego można było spodziewać. Pozostał na miejscu, dziwiąc się samemu sobie, gdyż nic nie mogło być bardziej odrażające dla jego upodobań, dotkliwsze dla zmysłów i poniekąd bardziej przeciwne jego istocie, aniżeli te brutalne przejawy siły. Nie można było tego nazwać muzyką; kapela Zangiaco mordowała po prostu ciszę z ordynarną, dziką energią. Miało się wrażenie, że się jest świadkiem jakiegoś gwałtu, i to wrażenie tak silne, iż niepodobna było zrozumieć ludzi siedzących na krzesłach tak spokojnie, bez żadnych oznak zgrozy, gniewu czy trwogi i popijających różne napoje. Heyst odwrócił oczy od niezrozumiałego widoku tej obojętności.

Gdy orkiestra zamilkła, doznał tak wielkiej ulgi, że poczuł wielki zawrót głowy, jak gdyby otchłań milczenia rozwarła się u jego nóg. Kiedy spojrzął na salę, twarze publiczności wyrażały wbrew wszelkiej logice ożywienie i zainteresowanie, a muzykantki w białych muslinowych sukniach schodziły parami z estrady na „salę koncertową” Schomberga. Rozproszyły się wszędzie. Męski osobnik o zakrzywionym nosie i fioletowo-czarnej brodzie gdzieś się zapodział. Nastąpiła przerwa, w czasie której – zgodnie z planem przebiegłego Schomberga – członkinie orkiestry miały zaszczycać swym towarzystwem słuchaczy – to jest, naturalnie, tych z pomiędzy słuchaczy, którzy skłonni byli do bratania się ze sztuką w sposób poufały a hojny, przy czym symbolem poufałości i hojności miały być w danym wypadku poczęstunki.

Heyst uznał to za wysoce nieodpowiednie. Lecz niestosowność przebiegłego zamysłu Schomberga została unieszkodliwiona przez tę okoliczność, że muzykantki były przeważnie niemłode, a żadna z nich nie odznaczała się nigdy pięknnością. Mniej lub więcej zwiędłe ich twarze z lekka były uróżowane, ale pominąwszy ten fakt, który mógł wypływać po prostu z przyzwyczajenia,

nie zdawały się zbytnio przejmować chytrym planem Schomberga. Popęd do bratania się ze sztuką był najwidoczniej słaby wśród publiczności. Kilka muzykantek pozasiadało niedbale przy wolnych stolikach, inne zaś, wzięwszy się pod rękę, chodziły tam i z powrotem w środkowym przejściu – zadowolone, że mogą wyprostować nogi i dać odpoczynek ramionom. Purpurowe ich szarfy nadawały sztuczny ton wesołości atmosferze sali koncertowej. Heyst uczuł nagłą litość dla tych istot, wyzyskiwanych, pozbawionych nadziei lepszego losu, wyzutych z wszelkiego uroku. Smutna zależność ich życia kładła cień tragizmu na te twarze popolite i bez wesołości.

Heyst miał naturę współczującą. Przykro mu było patrzeć, jak muzykantki chodzą tam i z powrotem obok jego stolika. – Chciał już wstać i odejść, gdy zauważył, że dwie białe muślinowe suknie i purpurowe szarfy zostały na estradzie. Jedna z tych sukien okrywała kościstą postać niewiasty o złośliwie wykrojonych nozdrzach. Była to ni mniej ni więcej, tylko sama pani Zangiaco. Wstała od pianina i, zwrócona tyłem do sali, przygotowywała nuty do drugiej części koncertu, ruszając przy tym porywczo i niecierpliwie brzydkimi łokciami. Wreszcie odwróciła się i, spostrzegłszy jeszcze jedną muślinową suknię, tkwiącą nieruchomo na krześle w drugim rzędzie, ruszyła do niej wśród pulpityw zaczepnym i władczyim krokiem. Na kolanach tej sukni leżała z rozwartymi dłońmi para drobnych, niezbyt białych rąk, złączonych z kształtnymi ramionami. Następnym szczegółem, który Heyst zauważył, było uczesanie – dwa grube, kasztanowate warkocze, owinięte wokoło główki o nęcącym zarysie.

– To chyba młoda dziewczyna – pomyślał zdziwiony.

Była to najwidoczniej młoda dziewczyna. Świadczyły o tym linie jej ramion, drobne, sprężyste piersi pod białym muślinem, przekreślone na ukos czerwoną szarfą, i dzwonowaty zarys muślinowej sukni, zasłaniający krzesło, na którym siedziała, odwrócona trochę od sali. Nogi jej w białych pantoflach skrzyżowane były wdzięcznie.

Przykuła pobudzoną uwagę Heysta; doznał wrażenia, że odczuwa coś zupełnie nowego. Wypływało to stąd, że jego zmysł obserwacyjny nigdy jeszcze nie zajął się żadną kobietą w sposób tak wyraźny i wyłączny. Przypatrywał się jej niespokojnie, jak nigdy mężczyzna nie patrzy na drugiego mężczyznę, i zapomniał po prostu, gdzie się znajduje. Zapamiętał się zupełnie. Tymczasem wysoka kobieta, podszedłszy do dziewczyny, zasłoniła ją na chwilę przed jego wzrokiem; pochyliła się nad młodzieńczą postacią, przechodząc tuż koło niej, jak gdyby chciała szepnąć jej coś na ucho, i rzeczywiście wargi jej się poruszyły, ale cóż to mogło być za słowo, że dziewczyna zerwała się tak nagle? Zaskoczony tym Heyst drgnął przy swoim stole. Rozejrzał się szybko; nikt nie patrzył w kierunku estrady, a gdy znów spojrział w tę stronę, dziewczyna razem z wysoką kobietą, następującą jej na pięty, schodziła właśnie z trzech stopni łączących estradę z salą. Tu zatrzymała się, posunęła się chwiejnie o krok dalej i przystanęła znowu, tamta zaś ordynarna, wielka baba od fortepianu – niby eskorta jej, niby dragon – minęła ją szorstko i, maszerując wojowniczo środkowym przejściem wśród krzeseł i stolików, poszła szukać Zangiaco o zakrzywionym nosie. Podczas tego nadzwyczajnego przemarszu zdawało się, że wszystko w sali zmienia się w błoto pod jej nogami. Pogardliwe jej spojrzenie spotkało się z podniesionymi oczami Heysta, który spojrział zaraz w stronę dziewczyny. Nie poruszyła się wcale. Ramiona jej zwisały bezwładnie, a powieki były spuszczone.

Heyst położył na wpół wypalone cygaro i zaciśnął usta. Potem wstał z krzesła. Zawładnął nim taki sam poryw, jak wówczas przed laty, w ohydnej mieścinie Delii na wyspie Timor, gdy uczuł nagle, że musi przejść przez piaszczystą ulicę i zaczepić Morrisona, właściwie obcego sobie człowieka, który był najwidoczniej skłopotany, znękany, zwątpiały i samotny.

Był to taki sam poryw. Ale Heyst nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie myślał wówczas o Morrisonie. Można powiedzieć, że pierwszy raz od chwili, gdy zrezygnował ostatecznie z kopalni na Samburanie, zapomniał zupełnie o zmarłym Morrisonie. Prawda i to, że do pewnego stopnia zapomniał też gdzie się znajduje i, nie powstrzymany przez żaden przebłysk świadomości, szedł oto środkowym przejściem ku estradzie.

Tymczasem niektóre z muzykantek zapuściły już kotwicę u zajętych stolików. Rozmawiały z mężczyznami, wsparte na łokciach, i – mimo czerwonych szarf – przypominały w białych sukniach gromadę ubranych do ślubu panien młodych w średnim wieku, rozprawiających prostackimi głosami i zachowujących się bez ceremonii. Zgiełkliwy gwar rozmów, prowadzonych z pewnym ożywieniem, wypełnił koncertową salę Schomberga. Nikt nie zwrócił uwagi na Heysta, ponieważ wielu mężczyzn równocześnie wstało z miejsca. Zatrzymał się przed dziewczyną, która dopiero po chwili zauważyła jego obecność. Stała cichutko ze spuszczoneymi oczami, blada, niema i bez ruchu. Dopiero gdy Heyst odezwał się do niej swym zwykłym, dwornym tonem, podniosła na niego oczy.

– Przepraszam panią – rzekł po angielsku – ale ta okropna baba coś pani zrobiła. Uszczypnęła panią, prawda? Jestem pewien, że uszczypnęła panią przed chwilą, kiedy stała obok pani krzesła.

Dziewczyna przyjęła te słowa nieruchomym spojrzeniem szeroko rozwartych oczu, świadczących o niezmiernym zdumieniu. Heyst był zły na siebie i podejrzewał, że muzykantka nie rozumie jego słów. Niepodobna było powiedzieć, do jakiej narodowości należą te kobiety – widać było tylko, że są bardzo różnego pokroju. Ale dziewczyna zdumiała się prawie jeszcze bardziej od Heysta, ujrawszy tuż przy sobie tego mężczyznę, jego łysą głowę, białe czoło, ogorzałe policzki, długie poziome wąsy o kasztanowatym odcieniu, wijące się z lekka, i życzliwy wyraz niebieskich oczu wpatrzonych w jej oczy. Heyst widział, jak w osłupiałym jej wzroku błysnął nagły niepokój i ustąpił wyrazowi rezygnacji.

– Jestem pewien, że uszczypnęła panią w okrutny sposób – mruknął, zmieszany trochę swoim postępkiem.

Z wielką ulgą postłyszał jej odpowiedź:

– Nie zdarzyłoby się to po raz pierwszy. Ale choćby nawet tak było, cóż by pan mógł na to poradzić?

– Nie wiem – odrzekł z lekkim odcieniem żartobliwości, nie spotykanej już dawno w jego głosie – która zdawała się głaskać przyjemnie jej uszy. – Przykro mi, ale doprawdy nie wiem. A może mógłbym przydać się na coś? Co pani życzy sobie, abym zrobił? Proszę – niech pani rozkazuje.

I znów największe zdumienie odbiło się na jej twarzy; spostrzegła, jak dalece jest różnym od innych mężczyzn znajdujących się na sali. Różnił się od nich tak bardzo, jak ona różniła się od reszty muzykantek z damskiej kapeli.

– Rozkazywać panu? – szepnęła po chwili w osłupieniu. – Kto pan jest? – spytała nieco głośniejszym głosem.

– Mieszkam w tym hotelu od kilku dni. Wypadkiem²¹ znalazłem się na sali. Ta obelga...

– Niech pan nie próbuje do tego się mieszać – rzekła tak poważnie, że Heyst spytał ze zwykłym, żartobliwym odcieniem w głosie:

– Czy pani życzy sobie, abym odszedł?

– Nie powiedziałam tego – odrzekła dziewczyna. – Uszczypnęła mnie, bo nie zeszłam dość szybko z estrady.

– Nie umiem pani wyrazić, jaki jestem oburzony – odrzekł Heyst. – Ale ponieważ pani już tu zeszła – ciągnął ze swobodą światowca, zabawiającego rozmową młodą pannę – czy nie lepiej byłoby usiąść?

Posłuchała zapraszającego gestu i siedli na najbliższych krzesłach. Patrzyli na siebie poprzez okrągły stół zdumionymi, szeroko otwartymi oczami, a świadomość tego powstawała w nich tak powoli, że przeszła długa chwila, zanim wzrok od siebie odwrócili. Wkrótce oczy ich spotkały się znowu, ale tylko by od siebie odskoczyć. Wreszcie nawiązały stały kontakt, lecz upłynęło już wówczas z piętnaście minut od chwili, gdy siedli przy stoliku, i pauza dobiegała końca.

Tyle co do oczu. Co się zaś tyczy rozmowy, toczyła się bezbarwnie, gdyż oczywiście nie mieli sobie nic do powiedzenia. Twarz dziewczyny przykuwała uwagę Heysta. Wyraz jej nie był ani prosty, ani też łatwy do przeniknięcia. Nie odznaczał się niczym wybitnym – i trudno byłoby się

²¹ wypadkiem – dziś: przypadkiem. [przypis edytorski]

tego spodziewać – ale jej rysy więcej miały subtelności od rysów innych kobiecych twarzy, które Heyst miał kiedykolwiek sposobność tak blisko oglądać. Było w niej coś nieokreślonego a śmiałego, coś budzącego niezmiernie współczucie, bo i usposobienie, i los tej dziewczyny malowały się na jej twarzy. A jej głos! Oczarował Heysta nadzwyczajnym swym dźwiękiem. Był to głos stworzony do wypowiedzania najcudowniejszych rzeczy, głos, który by pozwolił znieść głupią paplaninę i opromieniłby urokiem najpospolitszą rozmowę. Heyst pił jego czar, jak się słucha tonu jakiegoś instrumentu, nie bacząc na melodię.

– Czy pani także i śpiewa? – spytał nagle.

– Nigdy w życiu nie wzięłam ani jednej nuty – odrzekła, zdumiona tym pytaniem, nie mającym związku z poprzednią rozmową, bo wcale dotąd o śpiewie nie mówili. Widocznie nie zdawała sobie sprawy ze swego głosu. – Od dzieciństwa nie pamiętam, abym miała kiedykolwiek powód do śpiewania.

To pospolite zdanie przeniknęło drgającą, ciepłą szlachetnością dźwięku wprost do serca Heysta. Chłodny i czujny jego umysł śledził jak tam zapadało, dziwiąc się na wpół świadomie swej bezcelowej badawczości, póki nie osiadło kędyś głęboko na dnie, gdzie spoczywają nasze niewysłowione tęsknoty.

– Pani jest, naturalnie, Angielką? – zapytał.

– A cóż pan myślał? – odparła najczarowniejszym tonem. I dodała, sądząc widać, że z kolei i jej wypada zadać pytanie. – Dlaczego pan się zawsze uśmiecha, kiedy pan mówi?

To wystarczyło, aby odjąć wszelką ochotę do uśmiechu; ale pytanie postawione było najwidoczniej z tak dobrą wiarą, że Heyst przyszedł zaraz do siebie.

– To takie niefortunne przyzwyczajenie – rzekł z delikatną, wytworną żartobliwością – – Bardzo się to pani nie podoba?

– Nie – odrzekła poważnie. – Ale zwróciłam na to uwagę. Nie spotykałam wielu przyjemnych osób w życiu.

– Jestem pewien, że ta kobieta grająca na pianinie bez porównania jest nieznośniejsza od wszystkich ludożerców, z którymi miałem do czynienia.

– Ja myślę! – wzdrygnęła się. – A jakim sposobem miał pan do czynienia z ludożercami?

– Za długo by o tym opowiadać – rzekł Heyst z nikłym uśmiechem. Uśmiechy Heysta były raczej melancholijne i nie harmonizowały z wielkimi wąsami, pod którymi żartobliwość jego czuła się doskonale, niby płochliwe ptaszę w rodzimej gęstwinie. – O wiele za długo. Jak się pani dostała do tej bandy?

– Pech – odpowiedziała krótko.

– Tak, tak – naturalnie – Heyst kiwnął potakująco głową i dodał, oburzony wciąż na owo uszczyplenie, które raczej odgadł niż zobaczył: – Proszę pani, czy pani nie może się jakoś bronić?

Wstała właśnie z krzesła. Muzykantki wracały z wolna na miejsca. Niektóre siedziały już beczynnym przed pulpitemi, patrząc przed siebie bezmyślnie. Heyst powstał także.

– Nie dam im rady – odrzekła.

Słowa te płynęły z pospolitego ludzkiego doświadczenia, ale, dzięki jej głosowi, olśniły Heysta jak objawienie. Uczucia jego były mętne, lecz umysł jasny jak zwykle.

– To niedobrze. – A jednak ta dziewczyna nie skarży się właściwie na złe traktowanie – rozmyślał trzeźwo po jej odejściu.

II

Tak się to zaczęło. Jakim zaś sposobem doszło do wiadomego końca, niełatwo ściśle zdać sprawę. Heyst zainteresował się najwidoczniej nie tyle samą dziewczyną, ile jej losem. Był to przecież ten sam człowiek, który dał nurka za tonącym Morrisonem, znając go prawie wyłącznie tylko z

widzenia i ze zwykłych plotek wyspiarskich. Ale tym razem skok do wody był zupełnie innego rodzaju i mógł doprowadzić do związku o zasadniczo odmiennym charakterze.

Czy zastanawiał się w ogóle nad tym wszystkim? Prawdopodobnie tak; dosyć miał na to rozwagi. Ale widać niedostatecznie zdawał sobie sprawę z wypadków; gdyż postępowanie jego w tym czasie – począwszy od owego wieczoru, a skończywszy na dniu ucieczki – nie zdradzało najlżejszego wahania. W gruncie rzeczy Heyst nie należał do ludzi, którzy zwykli się wahać. Tacy jak on marzyciele i widzowie ziemskiego zamętu bywają straszni, gdy żądza czynu raz nimi owładnie. Pochylają głowę i rzucają się na mur ze zdumiewającą pogodą, którą może dać tylko nieposkromiona wyobraźnia.

Heyst nie był głupcem. Przypuszczam, że wiedział – albo przynajmniej czuł – dokąd to wszystko prowadzi. Ale zupełny brak doświadczenia dawał mu potrzebną śmiałość. Głos dziewczyny był czarujący, gdy mówiła mu o swej nędznej przeszłości w prostych słowach, nacechowanych pewnym bezwiednym cynizmem, który jest nieodłączny od brzydkiej prawdy o życiu ludzi biednych. I może dlatego, że Heyst był prawdziwie ludzki – a może pod wpływem głosu dziewczyny, mieniącego się wszystkimi odcieniami tragizmu, wesołości i odwagi – opowiadanie jej nie wzbudziło w Heystcie wstrętu, tylko poczucie niezmiernego smutku.

Jednego z następnych wieczorów, podczas pauzy między dwiema częściami koncertu, dziewczyna mówiła Heystowi o swym życiu. Wychowywała się prawie wyłącznie na ulicy. Ojciec jej grywał w orkiestrach małych teatrzyków. Matka uciekła od męża, zostawiając ją malutką, i gospodynie różnych nędznych domów zajezdnych opiekowały się przypadkowo jej opuszczonym dzieciństwem. Nie był to dosłownie głód i łachmany, ale nieustanny, beznadziejny ucisk biedy. Gry na skrzypcach nauczył ją ojciec; zdaje się, że upijał się od czasu do czasu, ale bez przyjemności; usiłował tylko zapomnieć o żonie, która go porzuciła. Gdy pewnego wieczora dostał ataku paralitycznego w czasie koncertu i zwałił się z łoskotem na estradę, dziewczyna przystąpiła do trupy Zangiacomu. Ojciec jej został umieszczony w przytułku dla nieuleczalnych.

– A ja jestem tutaj – kończyła – i nikogo to nie obchodzi, czy przy najbliższej okazji skoczę wody, czy nie.

Heyst odrzekł, że zna lepszy sposób, jeśli jej chodzi tylko o porzucenie tego świata. Spojrzała na niego ze szczególną uwagą i zdziwieniem, które nadało jej twarzy wyraz pełen naiwności.

Działo się to podczas przerwy między dwiema częściami koncertu. Tym razem dziewczyna zeszła z estrady, nie przynaglona do tego uszczyptaniem strasznej Zangiacomowej. Trudno przypuszczać, aby ją pociągało wysokie, inteligentne czoło i długie, rudawe wąsy nowego przyjaciela. Wyrażenie „nowy przyjaciel” nie jest tu na miejscu. Nigdy przedtem przyjaciela nie miała i odczucie życzliwości, z którą Heyst się do niej odnosił, zachwycało ją już przez to samo, że było czymś zupełnie nowym. A przy tym każdy mężczyzna, niepodobny do Schomberga, wydawał się jej tym samym pociągający. Bała się panicznie hotelarza, który korzystał z tego, że mieszkała w głównym gmachu, a nie w pawilonie wraz z innymi „artystkami” i cały dzień krążył koło niej, milczący, pożądlivy i złowróbnny za osłoną wielkiej brody, albo napastował ją w cichych zakątkach i pustych korytarzach; zachodził z tyłu, szepcząc jej do ucha głębokim, tajemniczym głosem, w którym, mimo bardzo wyraźnych zamiarów hotelarza, dźwięczało jakieś ohydne obłąkanie.

Kontrast, który stanowiło spokojne, pełne ogłady obejście Heysta, napełniał dziewczynę szczególną rozkoszą i podziwem. Nigdy jeszcze nie zetknęła się z czymś podobnym. Może i zaznała kiedy w życiu dobroci, nigdy jednak nie zdarzyło się jej spotkać zwykłej uprzejmości. Pociągało ją to jako zupełnie nowe doświadczenie, nie bardzo zrozumiałe, ale nadzwyczaj przyjemne.

– Mówię panu, że nie umiem sobie z nimi poradzić – powtarzała Heystowi; czasem mówiła to obojętnie, ale częściej potrząsała przy tym głową z ponurym przygnębieniem.

Nie miała naturalnie ani grosza. Przerażali ją ci wszyscy „czarni ludzie”, którzy roili się naokoło. Nie zdawała sobie właściwie sprawy, w jakim punkcie kuli ziemskiej się znajduje. Orkiestrę przewożono zwykle prosto z parowca do jakiegoś hotelu i trzymano tam w zamknięciu, póki nie

nadszedł czas wyruszenia na inny parowiec. Nie umiała przypomnieć sobie wszystkich nazw, które słyszała po drodze.

– Jak się nazywa ta miejscowość? – zapytywała często Heysta.

– Sourabaya – wymawiał wyraźnie i śledził, jak w oczach dziewczyny, utkwionych w jego twarzy, przejawia się zniechęcenie, wywołane tym obcym dźwiękiem.

Nie mógł powstrzymać się od litości. Podsunął dziewczynie myśl, aby udała się do konsula, ale tę radę podyktowała mu sumienność, nie zaś przekonanie. Okazało się, że nie słyszała nigdy o podobnym stworzeniu ani o możliwości korzystania z jego usług. Konsul! Cóż to takiego? Kto to jest? Co mógłby dla niej zrobić? A kiedy postłuszyła, że dałoby się może skłonić go, aby odesłał ją do Anglii, głowa opadła jej na piersi.

– I cóż ja bym tam robiła? – szepnęła z tak właściwą intonacją i wyrazem tak przejmującym – czar jej głosu działał, nawet gdy mówiła szeptem – że Heystowi pierzchnęła niejako sprzed oczu złuda ludzkiego braterstwa wobec nagiej prawdy o życiu tej dziewczyny, prawdy, która zostawiła ich sam na sam na moralnej pustyni jałowej jak piaski Sahary, bez kojącego cienia, bez rzeźwiącej wody.

Pochyliła się z lekka nad stolikiem, nad tym samym stolikiem, przy którym siedzieli podczas pierwszego spotkania – i, nie mając w pamięci żadnych innych wspomnień prócz ulicznego bruku, z którym zrosło się jej dzieciństwo – znękana bezwładnymi, mglistymi i pierwotnymi wrażeniami swych podróży, które budziły w niej nieokreślony lęk przed światem, rzekła prędko, tak jak się mówi w przystępie rozpaczy:

– Niech pan coś dla mnie zrobi! Pan jest dżentelmenem. Nie ja pierwsza odezwałam się do pana, prawda? Przecież to nie ja zaczęłam. To pan przyszedł do mnie i przemówił, kiedy tam stałam. Czego pan chciał ode mnie? Wszystko mi jedno, czego pan chciał wtedy, ale pan musi coś dla mnie zrobić.

Spoglądała dziko i błagalnie zarazem – widać było, że gwałtownie na coś nalega, choć mówiła głosem zamierającym ze wzruszenia. Tak namiętna prośba wyrażała się w jej postaci, że mogło to zwrócić uwagę. Heyst roześmiał się głośno naumyślnie. Z oburzenia zabrakło jej głosu wobec tak brutalnego braku serca.

– Więc co to miało znaczyć, kiedy pan mówił: proszę mi rozkazywać? – syknęła prawie.

Czujny wyraz jego smutnego spojrzenia i spokojne słowa: „Wszystko będzie dobrze” wnet ją uspokoiły.

– Nie jestem dość bogaty, aby panią wykupić – ciągnął dalej z dziwacznym uśmiechem, nie mającym żadnego związku z jego słowami – nawet gdyby to dało się zrobić; ale mogę zawsze panią wykraść.

Spojrzała na niego głęboko, jakby te słowa miały ukryte i bardzo skomplikowane znaczenie.

– Niech pani teraz odejdzie – rzekł prędko – i niech pani spróbuje się uśmiechnąć.

Postłuszyła go z niespodzianą gotowością, a że miała bardzo ładne i białe zęby, jej machinalny, obstalowany uśmiech wydał się radosnym i promieniejącym. Zdumiało to Heysta. – Nic dziwnego – mignęło mu przez myśl – że kobiety tak doskonale potrafią mężczyzn zwodzić. Umiejętność ta jest im wrodzona; zdawałoby się, że przychodzą na świat ze specjalną zdolnością w tym kierunku. Oto uśmiech, którego źródło znał dokładnie – a jednak uśmiech ten rozgrzał go i dał mu zapach do życia – uczucie, którego nigdy jeszcze nie doświadczył.

Tymczasem dziewczyna odeszła od stołu i przyłączyła się do innych „dam z orkiestry”. Zmierały gromadą ku estradzie, zaganiane srogo przez wyniosłą małżonkę Zangiacoma, która zdawała się powstrzymywać z trudnością od szturchania ich w plecy. Za nimi postępował w krótkiej kurtce Zangiacomo o wielkiej, obwisłej, farbowanej brodzie; spuszczone głowa i niespokojne oczy, bardzo blisko siebie osadzone, nadawały mu pozór skupiającego się wisielca. Wszedł po schodkach ostatni, odwrócił się, rozpościerając przed publicznością fioletową brodę, i uderzył lekko smyczką. Heyst wzdrygnął się, oczekując na ohydny hałas, który wybuchnął natychmiast, bezwstydnym i strasznym.

Przy końcu estrady zasiadła do fortepianu pani Zangiaco, ukazując okrutny swój profil, i z odchylną głową waliła w klawisze, nie patrząc na nuty.

Heyst nie mógł znieść tego zgiełku dłużej niż minutę. Wyszedł z mózgiem storturowanym przez rytm jakiegoś mniej lub więcej węgierskiego tańca. W lasach Nowej Gwinei zamieszkałych przez ludożerców, gdzie przeżył najbardziej wstrząsające ze swych dawnych przygód – w tych lasach panowała cisza. Obecna zaś przygoda wymagała większego opanowania niż wszystko, czemu dotychczas stawiał czoło – a to nie tyle ze względu na swój przebieg, co na samą swoją istotę. Przechadzając się wśród papierowych latarni zawieszonych na drzewach, przypomniał sobie z żalem mrok i martwą ciszę lasów w głębi zatoki Geelvink – tego chyba najdzikszego, najbardziej czyhającego na ludzką zgubę ze wszystkich miejsc na ziemi, z których widać morze. Gnębiony przez myśli, szukał ciemności i ciszy w swoim pokoju, ale i tam ich nie znalazł. Odległe dźwięki koncertu sięgały jego uszu, niepokojące choć słabe. Nie czuł się bezpieczny i tutaj, gdyż spokój nie należy do zewnętrznych okoliczności, lecz płynie z naszego wewnętrznego poczucia. Nie miał zamiaru położyć się spać; nie rozpiął nawet kurtki. Siedział na krześle, pogrążony w myślach. Przyzwyczał się dawniej w samotności i ciszy rozważać różne rzeczy z jasnością a nawet i głębią, i patrzył na życie trzeźwo, nie omamiony przyjemnym złudzeniem optycznym wiecznotrwałej nadziei, konwencjonalnych zwątpień i spodziewanego wciąż szczęścia. Ale teraz czuł się do dna zmacony; lekka zasłona opadła mu na mózg, stępując bystrość myślenia; budziła się w nim tkliwość – niewyraźna jeszcze i mglista, tkliwość dla nieznaney kobiety.

Zupełna cisza zapanowała stopniowo dokoła. Koncert dobiegł końca, publiczność się rozproszyła; światło w hali koncertowej zgasło, i nawet pawilon, w którym damska orkiestra spała po hałaśliwej pracy, pogrążył się w ciemnościach. Heyst uczył nagle niepokój we wszystkich członkach, reakcję po długim siedzeniu. Ulegając nieprzepartej potrzebie ruchu, minął spokojnie tylną werandę i wyszedł na dwór bocznym przejściem, wkraczając w czarny mrok pod drzewami gdzie kule zgaszonych papierowych latarni kołysały się łagodnie podobne do zwiędłych owoców.

Przechadzał się długi czas tam i z powrotem, niby spokojny, zamyślony duch w białym płóciennym ubraniu, i przeżuwał myśli zupełnie nowe, niepokojące i ponętne, rozpatrując ciągle swój zamiar, aby się z nim oswoić i uznać go w końcu za mądry i godny pochwały. Rozum bowiem służy nam do usprawiedliwiania niejasnych pragnień, które kierują naszym postępowaniem, naszymi porywami, namiętnościami, uprzedzeniami i szaleństwem, i które są także przyczyną naszych lęków.

Przeczuł, że nierozważną obietnicą zobowiązał się do czynu pociągającego za sobą nieobliczalne skutki. A następnie postawił sobie pytanie, czy dziewczyna zrozumiała, co miał na myśli. Któż to mógł wiedzieć? Napadły go przeróżne wątpliwości. Podniósłszy głowę, zobaczył że coś białego mignęło między drzewami. Znikło prawie natychmiast; ale nie mogło to być złudzenie. Zły był, że spostrzeżono go włóczącego się po północy. Któż to taki? Nie przyszło mu wcale na myśl, że dziewczyna mogła także cierpieć na bezsenność. Posunął się ostrożnie naprzód. Wówczas zobaczył znów białe zjawisko, podobne do ducha, a w następnej chwili znikły wszystkie jego wątpliwości co do myśli i uczuć dziewczyny: poczuł, że przypadła do niego w sposób właściwy wszystkim ludziom, którzy o coś błagają. Szeptala coś zupełnie bez związku, tak że nic nie mógł zrozumieć; pomimo to jednak uczył się głęboko wzruszonym. Nie miał co do niej złudzeń, ale sceptyczny po prostu jego umysł został obezwładniony przez uczucia przepełniające mu serce.

– Spokojnie, spokojnie – szeptał jej do ucha, odwzajemniając uścisk z początku machinalnie, a potem ze wzrastającym wciąż odczuciem jej rozpacz. Falowanie jej piersi i drzenie wszystkich członków w uścisku Heysta zdawało się udzielać i jego ciała, przenikając do samego serca. W miarę jak dziewczyna uspokajała się w jego ramionach, ogarniało Heysta coraz większe wzburzenie, jak gdyby na tej ziemi istniała pewna ściśle określona miara gwałtownych wzruszeń. Nawet noc wydała mu się bardziej niema i głucha, a otaczające go czarne, niewyraźne kształty bardziej jeszcze znieruchomiały.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął, usiłując ją uspokoić, i z konieczności zacieśnił uścisk.

Słowa jego – czy ruchy – odniosły bardzo dobry skutek. Usłyszał lekkie westchnienie ulgi. Zaczęła mówić, panując nad uniesieniem:

– O, ja wiedziałam, że wszystko będzie dobrze – od pierwszej chwili, gdy pan do mnie przemówił! Doprawdy, wiedziałam to już wtedy, gdy pan podszedł do mnie tamtego wieczoru. Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko pan zechce; ale naturalnie nie mogłam wiedzieć, czy pan będzie chciał naprawdę mi pomóc. Powiedział mi pan: niech pani rozkazuje. Jakie to dziwne, żeby taki człowiek jak pan tak mówił. Czy pan to mówił na serio? Nie żartował pan ze mnie?

Zaprzeczył, zapewniając ją, że był przez całe życie poważnym człowiekiem.

– Wierzę panu – rzekła gorąco. Wzruszyło go to oświadczenie. – Pan mówi w taki sposób, jakby ludzie pana bawili – ciągnęła. – Ale mnie to nie zwiodło. Widziałam jaki pan był rozgniewany na tę okropną babę. Pan jest mądry. Od razu pan coś wymiarkował²². Czy pan poznał to po mojej twarzy? Nigdy pan nie będzie żałował. Widzi pan, nie mam jeszcze dwudziestu lat, naprawdę – i wiem, że nie mogę być brzydką, bo przecież... powiem panu szczerze, że i przedtem prześladowali mnie i dręczyli tacy różni. Nie wiem, co ich napadło.

Mówiła z wielkim pośpiechem; nagle zabrakło jej głosu. Po chwili wykrzyknęła z rozpaczą:

– Co to takiego? Co się stało?

Poczuła, że ramiona Heysta osunęły się nagle i cofnął się trochę.

– Czy to moja wina? Mówię panu, że nawet na nich nie spojrzełam! Nigdy! A czy na pana patrzyłam? Niech pan powie! Przecież to pan zaczął.

Prawdę powiedziawszy, Heyst wzdrygnął się na myśl o rywalizacji z nieznanymi mężczyznami, z hotelarzem Schombergiem. Mglista biała postać stojąca przed nim ślaniała się żałośnie w ciemnościach. Zawstydził się swego odruchu.

– Boję się, że nas wykryli – szepnął. – Zdaje mi się, że zobaczyłem kogoś na ścieżce między domem i tymi krzakami za panią.

Nie widział nikogo. Było to kłamstwo wywołane przez litość. Ogarnęło go współczucie równie szczerze jak wstręt, który odczuł poprzednio, ale w jego pojęciu – bardziej godne szacunku.

Nie odwróciła głowy. Widać było, że jego słowa przyniosły jej ulgę.

– Czyżby to był ten łotr? – szepnęła, mając oczywiście na myśli Schomberga. – On robi się zupełnie niemożliwy. Czegoż można się po nim spodziewać? Tego wieczoru także, po kolacji – ale wymknęłam mu się. Cóż on pana może obchodzić? Teraz to i sama z nim sobie poradzę, kiedy wiem, że pan dba o mnie. Dziewczyna może się zawsze obronić. Pan mi wierzy, prawda? Ale niełatwo dawać sobie radę, kiedy się czuje, że nie ma się za sobą nic i nikogo. Nikt na świecie nie jest taki samotny jak dziewczyna, która musi sama o sobie myśleć. Kiedy zostawiłam biednego tatusia w tym przytułku – to było w polu, niedaleko od wsi – wyszłam z bramy z siedmioma szylingami i trzema pensami w starej portmonetce – i z biletem kolejowym. Szłam piechotą z kilometr, a potem wsiadłam do wagonu.

Urwała i zamilkła na chwilę.

– Niechże mnie pan teraz nie rzuca. Co ja bym zrobiła, gdyby pan mnie rzucił? Pewnie że musiałabym żyć, bo się boję odebrać sobie życie, ale pan zrobiłby rzecz tysiąc razy gorszą od morderstwa. Mówił mi pan, że pan był zawsze sam, że nawet psa nigdy pan nie miał. No więc nikomu nie wejść w drogę, jeśli pan mnie zabierze – nawet psu. O cóż panu chodziło, kiedy pan podszedł i patrzył na mnie z tak bliska?

– Z bliska? Patrzyłem na panią? – szepnął, stojąc przed nią nieruchomo w głębokim mroku. – Z tak bliska?

Wybuchnęła gniewem i rozpaczą, panując jednak nad głosem:

– Jak to, więc pan zapomniał? Czego pan się po mnie spodziewał? Wiem dobrze, jaka ze mnie dziewczyna, ale swoją drogą nie należę do tych, od których mężczyźni się odwracają – i pan powinien

²² wymiarkować (daw.) – zauważyć, zrozumieć, zorientować się. [przypis edytorski]

to wiedzieć, chyba że pan jest z innej gliny niż wszyscy. O niech mi pan wybaczy! Pan nie jest taki jak wszyscy, pan nie jest podobny do żadnego z ludzi, których w życiu spotkałam. Czy ja pana nie obchodzę? Czy pan nie widzi, że...

A on tymczasem widział białą, widmową postać, wyciągającą w mroku ramiona jak jakiś duch błagalny. Ujął jej ręce; uderzyło go, zdziwiło prawie ich dotknięcie – tak były ciepłe, silne i żywe w jego dłoniach. Przyciągnął ją do siebie; złożyła mu głowę na ramieniu z głębokim westchnieniem.

– Jestem śmiertelnie zmęczona – szepnęła żałośnie.

Otoczył ją ramionami i tylko po konwulsyjnych drgnieniach jej ciała poczuł, że łka bezgłośnie. Podtrzymując ją, zapamiętał się w głębokiej, nocnej ciszy. Dziewczyna uspokoiła się po chwili i płakała cichutko. Nagle spytała, jakby zbudzona ze snu:

– Pan już nie widział tej osoby, co nas śledziła?

Drgnął na ten szybki, ostry szept i odrzekł, że się zapewne pomylił.

– Ale jeśli ktoś był rzeczywiście – rozmyślała głośno – nie mógł to być nikt inny tylko gospodyni – żona hotelarza.

– Schombergowa? – spytał zdziwiony Heyst.

– Tak. Ona także nie może sypiać po nocach. Pan nie rozumie dlaczego? No bo przecież ona naturalnie widzi, co się święci. To bydlę nie stara się nawet tego przed nią ukryć. Gdyby tylko miała choć trochę odwagi! Ona wie dobrze, co ja czuję, ale tak się go boi, że nie śmie nawet spojrzeć mu w twarz, a cóż dopiero odezwać się do niego. Kazałby jej zaraz iść na złamanie karku.

Heyst przez jakiś czas nic nie mówił. Otwarta bójka z hotelarzem była nie do pomyślenia. Wstręt go przejął na samą myśl o tym. Zaczął szeptać łagodnie do dziewczyny, usiłując jej wytłumaczyć, że tak, jak rzeczy stoją, przeszkodzono by jej prawdopodobnie, gdyby chciała jawnie opuścić orkiestrę. Słuchała niespokojnie tych dowodzeń, ściskając od czasu do czasu jego rękę, którą znalazła w ciemności i mocno trzymała.

– Mówiłem już pani, że nie jestem dość bogaty, aby panią wykupić; więc też wykradnę panią, skoro tylko uda mi się znaleźć jakiś sposób ucieczki. A tymczasem byłoby fatalnie, gdyby nas po nocy razem widziano. Nie wolno nam się zdradzić. Najlepiej rozejdźmy się zaraz. Mam wrażenie, że się przed chwilą omyliłem; ale jeśli pani mówi, że biedna Schombergowa nie może sypiać po nocach, musimy być ostrożniejsi. Powiedziałyby wszystko temu łotrowi.

Gdy to mówił, dziewczyna wysunęła się z lekkiego uścisku jego ramion i stała obok niego, trzymając go wciąż mocno za rękę.

– O nie – rzekła z głębokim przeświadczeniem. – Mówię panu, że ona nie ośmieli się ust przy nim otworzyć. I wcale nie jest taka głupia, jakby się zdawało. Nie zdradziłyby nas. Ona jest zdolna i do lepszych kawałów. Pomoże nam – na pewno pomoże, jeśli w ogóle ośmieli się coś zrobić.

– Zdaje mi się, że pani ocenia jasno sytuację – rzekł Heyst i w zamian za tę pochwałę dostał ciepły, przeciągły pocałunek.

Odkrył, że nie tak łatwo mu będzie z nią się rozstać, jak przypuszczał.

– Doprawdy – rzekł, nim się rozeszli – nie wiem nawet, jak pani na imię.

– Nie wie pan? Nazywają mnie Alną. Nie mam pojęcia dlaczego. Takie jakieś głupie imię! A także Magdalena. To wszystko jedno. Niech pan mnie nazwie, jak się panu podoba. Tak – tak, niech mi pan nada jakieś imię. Niech pan wymyśli takie, żeby brzmiało dla pana przyjemnie – coś zupełnie nowego. Jakże bym chciała zapomnieć o tym, co było, nim pana poznałam, tak jak się zapomina o złym śnie, który się skończył, i o lęku, i o wszystkim! Spróbuję zapomnieć.

– Więc pani chce zapomnieć? – spytał szeptem. – To pani wolno. Rozumiem, że kobiety łatwo zapominają o tym, co w przeszłości pomniejsza je w ich oczach.

– Ale mnie chodzi o pana oczy! Nigdy przedtem nie pragnęłam o niczym zapomnieć, póki pan nie przyszedł do mnie wtedy wieczorem i na wskroś mnie nie przejrzał. Wiem, że niewiele znaczę, ale umiem opiekować się mężczyzną. Opiekowałam się ojcem, odkąd tylko doszłam do rozumu. To nie był zły człowiek. Teraz, kiedy mu już pomóc nie mogę, chciałabym zapomnieć o tym wszystkim

i zacząć życie na nowo. Ale to nie są rzeczy, o których mogłabym z panem mówić. I o czym w ogóle mogłabym z panem mówić?

– Niech się pani o to nie troszczy – rzekł Heyst – głos pani mi wystarczy. Zakochany jestem w pani głosie, cokolwiek by pani mówiła.

Ucichła na chwilę, jak gdyby to spokojne oświadczenie zatamowało jej oddech.

– Ach, chciałam pana zapytać...

Przypomniał sobie, że dziewczyna nie zna prawdopodobnie jego nazwiska i oczekiwał, że teraz zapyta o nie; ale po chwili wahania mówiła dalej:

– Dlaczego pan kazał mi się uśmiechnąć wtedy wieczorem, tam w sali koncertowej – pamięta pan?

– Zdawało mi się, że nas obserwują. Uśmiech jest najlepszą z masek. Schomberg siedział o jeden stolik od nas i pił z holenderskimi urzędnikami z miasta. Śledził nas na pewno, a w każdym razie śledził panią. Dlatego powiedziałem, żeby się pani uśmiechnęła.

– Ach, więc dlatego! Nie przyszło mi to wcale do głowy.

– A pani zrobiła to tak dobrze, z taką gotowością, jakby pani rozumiała moją myśl.

– Z gotowością! – powtórzyła. – O, wtedy to doprawdy gotowa byłam się śmiać. To jest szczerą prawdą. Mogę powiedzieć, że pierwszy raz od lat miałam ochotę się uśmiechnąć. Mówię panu, że niewiele miałam w życiu sposobności do śmiechu, szczególnie w ostatnich czasach.

– Ale pani to robi uroczo – naprawdę czarująco.

Zamilkł. Stała nieruchomo, w milczeniu, przejęta najwyższą rozkoszą i czekała na dalsze jego słowa, pragnąc aby ta chwila trwała jak najdłużej.

– Zdziwił mnie ten uśmiech – dodał Heyst. – Przeniknął mi wprost do serca, jak gdyby pani uśmiechnęła się umyślnie, żeby mnie olśnić. Doznałem wrażenia, że nigdy przedtem nie widziałem uśmiechu. Myślałem o tym później, kiedyśmy się rozeszli. Ciągłe to we mnie nurtowało.

– Doprawdy? – rozległ się jej głos, niepewny, łagodny i niedowierzający.

– Gdyby pani wtedy tak się nie uśmiechnęła, nie byłbym może przyszedł tu dziś w nocy – rzekł z właściwą sobie żartobliwą powagą. – To jest pani triumf.

Poczuł muśnięcie jej warg na ustach i już jej nie było. Biała suknia zajaśniała w oddali, a potem wydało mu się, że pochłonęła ją gęsta ciemność domu. Heyst poczekał chwilę, zanim ruszył w tę samą stronę; minął róg domu, wszedł po schodach na werandę i znalazł się w swoim pokoju, gdzie wyciągnął się na łóżku – jednak nie po to, aby zasnąć; przeżywał ponownie w myśli wszystko, co sobie powiedzieli.

– To szczerą prawdą, co mówiłem o jej uśmiechu – rozmyślał. – A także o głosie. Pod tym względem byłem zupełnie szczerzy. Zresztą – co ma być, to będzie.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.